

II 236.906
JAN BIELATOWICZ

PASSEGGIATA

SZKICE WŁOSKIE



INSTYTUT
RZYM



LITERACKI
1947



PASSEGGIATA

JAN BIELATOWICZ

PASSEGGIATA

SZKICE WŁOSKIE



INSTYTUT
RZYM



LITERACKI
1947

UKŁAD
GRAFICZNY
STANISŁAWA
GLIWY

•
RYSUNKI
STANISŁAWA
WESTWALEWICZA



II 296.406

Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001005512803

PRINTED IN ITALY

1962 W1412/1

Obce kraje bardzo by było trudno poznać przez literaturę polską. O Italii napisano w sposób piękny po polsku przede wszystkim mnóstwo plotek. Literatura, pragnąc podążyć za peregrynacjami i wozajami polskimi do Włoch, które były przez całe dziesięć stuleci w Polsce ze wszystkich zagranicznych podróży najpopularniejsze, uważała za swój obowiązek imię Italii często powtarzać.

Ale dość rozmaicie nasi pisarze oceniali Italię, a jeżeli już o niej śpiewali, to rzadko przy lutni, a od razu przy organach. Tylko to, co było na szczytach podobało się Polakom:

„Bo z starej Padwy i z Bolonii małej,
Z Rzymu ogromów
Przenieśli ojce wiecznej odłam skały
W posadę domów”. (C. K. Norwid)

Wszystkie inne „delicje ziemi włoskiej” budziły zgorszenie. „...Bo co owo młódź ślecie do Włoch dla tańców, dla lutnie, nie przyniosą owi z sobą tego, co by koronie było zdrowe: ale to przyniosą, czego nie umieć zdrowiej było...” (Łukasz Górnicki „Rozmowa Polaka z Włochem”).

Tymczasem ziemia włoska, jak pewnie każda ziemia, ma to do siebie, że poznać, zrozumieć i pokochać ją można nie od razu w kościołach, pałacach i galeriach, ale przede wszystkim na ulicy i pod dachem, między ludźmi żywymi i zwykłymi. Najpierw trzeba trafić do człowieka, a z nim dopiero do duszy całego narodu. Trzeba

poznać obcy kraj na wysokości nie piramid i wież kościelnych, ale najpierw własnych oczu. Trzeba umieć przeżyć życie powszednie, aby pojąć niepowседневne.

Szczęście takiego poznania ziemi włoskiej mieli żołnierze polscy, których tu przyprowadziła jeszcze raz polska Nike i których nie opuściła wśród obcych także tylko poezja.

„La libertade italica,
Che tanto deve a voi,
Bravi Polacchi, volgevi
Lieta gli sguardi suoi!”.

“(„Wolność włoska tyle wam zawdzięcza, dzielni Polacy, więc podnieście swe oczy radośnie”) — tak śpiewano w Rimini pierwszy raz wtedy, gdy stały tam wojska Dąbrowskiego.

Passeggiata, znaczy po włosku spacer, wycieczka, przejażdżka, *Książeczka* pod tym tytułem jest przeznaczona w pierwszym rzędzie dla tych, którzy odbyli po Italii *passeggiatę* zbrojną. I dla tych, którzy sądzą, że była ona Polsce potrzebna, że była „koronie zdrowa”.

„Buona passeggiata!”.

Wszystkie drogi prowadzą do Rzymu. Dwie są jednak naj-
słuszniejsze. Morze — to jedna. Wody, nad którymi uno-
sił się Duch Boży, zanim Bóg nie wyrzekł słów „Fiat
lux!” i zanim blask Jego ręki, miłościwie ogarniającej cały glob, nie
spłynął najrzęśniej na ziemię stolicy Jego Kościoła.

Druga droga na tę ziemię wiedzie przez serce. Można ją odbyć
morzem i lądem, ale najlepiej na skrzydłach, które są z Ducha Bo-
żego i powolne najtajniejszej tęsknocie serca. Droga ta zaczyna się
od szmeru szpalerów książek, od strugi pieśni lub wina, od złóż
sztuki, od gołębih lotów marzenia. Mgła tylko często panuje po
tej drodze: trzeba się bronić łzom. Chcąc dojrzeć Italię z wysokości
marzeń, trzeba otrzeć łzy wzruszenia. Pomyśleć tylko, że się za
chwilę podniesie oczy na katedrę sienneńską, na Pietę watykańską,
na florencką Santa Maria del Fiore, na plac św. Marka, na oliwki,
truchcikiem biegnące na góry, na amfiteatry apenińskie, na miejsca,
które nie mając urody naturalnej, mają co najmniej urodę imienia.
Szeroka musi być odpowiedź na ludzkie ku Italii „Quo vadis?”

Nie trzeba być poetą, aby mówić o ziemi włoskiej językiem
poezji. Nazwy jej gór, rzek, miast i wsi wzięte są bowiem z na-
tchnionych wierszy. Litaniami, które są zbiorem poetyckich wy-
razów, sławi się Boga i świętych. Można by też ułożyć litanie z
imion miast lub pomników Italii. „Katedro Sieny”, „Wieżo świe-
tego Piotra”, „Domie królów Italii”, „Złoto św. Marka”, „Bramo
katedry mediolańskiej”, „Pani Orvieto”, „Pani Gimignano”, „Pani
Urbino”, „Matko Asyżu”, „Gwiazdo Adriatyku”, „Królowo
Rzymskich Kasztelów”...

Italia składa się z nieskończonej ilości republik poetyckich. Miłość wszelkich form sztuki jest najmocniejszą więzią narodu włoskiego i jego najwyższym prawem. Naród włoski składa się z artystów i widzów; poza teatrem nie ma nikogo.

Jest to zresztą jedyna trwała spójnia Włochów. Jeden z ich najwybitniejszych pisarzy współczesnych, Corrado Alvaro, podkreśla kontrast między bujnością i gorącym klimatem włoskiego życia rodzinnego a oschłością innych postaci życia społecznego. Włochom brak zmysłu społecznego. W Italii nie istnieje żadne nowoczesne wielkie miasto. Miasta włoskie są natomiast zbiorem miasteczek. Współżycie istnieje jedynie w ramach szerokiej rodziny, a co najwyżej w imię wspólnoty zawodowej lub regionalnej. Italia nie ma typowego włoskiego teatru dramatycznego, a jej proza posiada charakter regionalny i prowincjonalny i naszpikowana jest gwarą.

Włoska miłość sztuki, była jednak dostateczną więzią narodową. Kiedy w XV wieku żołnierze Karola VIII wyprawiali się do Italii, śpiewali pieśń „*Nous conquérons les Italies*”. Italia istniała od wieków jako niepodzielne królestwo sztuki, państwo poezji, republika pieśni. Różniła się za to między swymi prowincjami i miastami wszystkim innym. Tylko Rzym zawsze próbował wiązać członki Italii, godzić różnice, rozpalać wspólne ideały. Rzym znakomicie nadawał się na stolicę Kościoła powszechnego dlatego także, że miał potężne doświadczenia ponadnarodowej, uniwersalistycznej polityki u siebie w domu. Był więc dla Italii jak serce, którego arterie i żyły wiodły aż po ostatni zakątek kraju tę samą, rzymską krew. Zapewne żadne państwo świata nie posiada bardziej od Rzymu stołecznej stolicy.

Wszystkie drogi świata wpadają do Rzymu siedmioma głównymi korytami. Do parad triumfów nadawała się tylko Appia, rozparta szeroko na równinie Kampanii. Rzym widać od jej strony z bardzo daleka. Trzykroć i czterekroć razy muszą wszystkie inne drogi przeskakiwać siedem gór i siedem rzek, nim dojdą pod sam horyzont miasta. Drogi do Rzymu są trudne, znojne, puste, dzi-

kie, skaliste i leśne, apostołskie. Rzym jest skryty jak hostia w tabernaculum swoich wzgórz.

Drogi Appia i Casilina są greckimi gościńcami z południa: z Neapolu, z Sycylii i Kalabrii, z Apulii, Bari, Brindisi i Taranto. Appia była drogą zamorskich triumfów Rzymu i na pokładach rzymskich fregat biegła przez morze do Afryki. Wylot jej na morza oznaczony był w starożytnym Brundisium dwiema kolumnami, które w całości przetrwały do dziś w herbie miasta, a we fragmentach na dawnym swym miejscu. Brindisi i Taranto były, od kąd ludzka pamięć sięga, główną bramą Europy na Wschód, kaptułą imperium rzymskiego, stacją wypraw krzyżowych. Na odwrót zatoka tarancka była jak łuk Azji i Afryki, napięty ku Europie.

Strzała jego leci przez oliwne pagórki, gaje migdałowe i białe miasteczka o domkach niskich i ciasnych jak dla krasnoludków ku Bari, po czym wierci na wylot góry i wpada w błękit morza po drugiej stronie półwyspu w Neapolu. Bari, najbardziej wschodnie miasto Włoch, o ulicach żywcem naśladowanych z arabskich bazarów, posiada polską katedrę. Renesansowy grobowiec królowej Bony, zbudowany przez jej córkę, błogosławią w głównym ołtarzu święci polscy: Stanisław i Kazimierz, a w podziemiach, zaciekających wodą morską, in odore Orienti spoczywają relikwie świętego Mikołaja, porwane przez włoskich żeglarzy z Małej Azji i sączące cudowną „mannę św. Mikołaja”. Grób świętego obwieszony jest carskimi ikonami, lampami i złotogłowiem. Carowie Rosji przyszli do katedry w Bari po królach polskich, którzy do końca mieli w swej opiece katedrę i wyrażali zgodę na nominacje biskupów Bari. Dziś zaniedbana katedra ze swą pękającą facjatą czyni wrażenie uschłej gałęzi, odpadłej od pnia bujnego w przeszłości. Zanim strzała wysłana z Taranto wpadnie do Morza Tyrreńskiego w Neapolu, przemknie się pod arkadami pałacu królewskiego w Casercie.

Klasyczne Tyburu spadające wody są granicą drogi Tyburtyńskiej — z Rzymu do Tivoli. Wodę zaklętą w żywą baśń, żywioł

wymodelowany przez człowieka, architekturę wodospadów, rzeźby w wodzie ogląda się tu w ogromnym parku natury. Wody Tivoli były uciechą starych Rzymian, kochających ponad wszystko łażnię. Pluskali się w Tivoli jeszcze królowie rzymscy i wybrukowali do jej wód drogę.

Zwolna jednak Tivoli stało się pałacem i muzeum wody, a rosnąca masa Rzymian rzucała się w nieograniczoną toń słonej wody tyrreńskiej, w Ostii. Tak powstała ósma droga Rzymu, zarosła chwastami we wstydliwym średniowieczu, dziś znów droga triumfu ciała — *Via del Mare* albo *Ostiense*.

W królestwie leśnej zieleni, do jezior i kaskad wina Kasztelów Rzymskich prowadziła droga Tuscolana. Najbardziej to dziś wyboista droga, od nieprzerwanego pielgrzymowania Rzymian. Kiedyś wielkie duchy szukały tu samotności, dziś radość Kasztelom daje właśnie ścisk ludzki, drobnomieszczański, ruchliwy, bielański. Zresztą i samotność kontemplacyjna i gwarliwość mieszczańska przy winie, w gąszczu paproci i nad taflą jeziora Albano cel mają jednaki. Grecki klasztor w Grottaferrata głosi ten cel z głównego ołtarza napisem: „Chaire!”, „Ciesz się!”. Przypatruje mu się z bocznego ołtarza trochę nieufnie Matka Boska Począjowska. Daleko jest bowiem z Ukrainy do Rzymskich Kasztelów. Ale i ukraińska droga wiedzie do Rzymu, jeżeli ma być radością.

Półwysep apeniński spięty jest obręczami dróg nadmorskich: adriatycką i pierwszą drogą Rzymu, *Via Aurelia*. Aż prawie po Riwierę, po Livorno, doszczętnie zburzone w ostatniej wojnie, nie leży przy Aurelii żadne większe miasto. Trudno by to było co prawda napisać po włosku, bo Civitavecchia i Grosseto mają wielkie ambicje, pierwsza — morskie, drugie — jako miasto sztuki, co najmniej tak dobre, jak Lucca, Pistoia czy Pisa. I omszała starucha etruska, Tarquinia, mogłaby zakaszleć znacząco. Lecz *Via Aurelia* śmiga sobie szczęśliwa, że nie musi się uchylać pod starymi bramami i objąć boków w ciasnocie antycznych uliczek, ale pędzi błękitna od morza i złota od piasku i zwinnie jak jaszczurka przegina się wśród raf, urwisk i kamienistych zatoczek pod Livorno, odkąd już dalej będzie kornie chylić czoło przed górami.

Via Cassia — z Rzymu przez Sienę do Florencji jest stosem pacierzowym Italii. Tą arterią spływała do Rzymu najpiękniejsza mowa włoska — z Toskanii i Sieny, która jest „madre di lingua italiana” i krew najczystszej, najklasyczniejszej włoskiej sztuki. Od tej arterii rozchodzą się żyły do wszystkich tych części ciała Italii, których żywot jest konieczny i dla jej ducha. Pył pobliskich miast jest miazgą żywotną Italii. Orvieto, Viterbo, Perugia i Asyż, Siena, Arezzo, Pisa, Pistoia, Lucca, Todi, San Gimignano i nade wszystko Florencja, to poza Rzymem wszystko, co jest najbardziej włoskie. Płucami tych piersi Italii są cztery jeziora: Bracciano, Vico, Bolsena i Trasimeno. Cassia ma sprawę z jeziorem Bolsena. Długo oplata ramionami jego kształty, nim się oderwie w dalekie loty do Sieny. Droga z jeziorem, kiedy się poetycznie wzruszą, chadza ją prostą aleją do Orvieto, a kiedy w ich oczach pojawia się mgielka sentymentu, wyprawiają się przytuleni mniej prostą drogą albo na południe do Montefiascone albo na północ — do Acquapendente. Wina tam są czyste i słodkie, jak olejek różany pierwszych pocałunków.

Czarno-biała kampanila katedry w Sienie sterczy jak latarnia morska ponad falami żółtych pagórków okolicy, postrzępionych w koronki oliwek i winogrodu. Sama Siena jest też jak ogromna, zapierająca dech fala sztuki, w której uliczkach, murach, portykach i loggiach trzeba z trudem nurkować, aby dotrzeć do zaklętych w głębinie czasu skarbów. Cuda sztuki sienneńskiej są takie właśnie niepospolicie piękne, głębinowe. Campo, najniższa kondygnacja miasta, spowita w nieustannej ciszy, jest jak rozplaszczona na dnie morskim olbrzymia rozgwiezda. Srodek jej Sienieńczycy pragnęli połączyć z niebem i zbudowali Torre del Mangia nad gotyckim Palazzo Comunale. Raz tylko w roku Campo wypełnia się burzą. W wigilię Wniebowzięcia mieszkańcy wszystkich siedemnastu dzielnic miasta schodzą się na placu, by wśród uniesienia religijnego śledzić turniej konny o nagrodę przechodnią, „palio”, to jest sztandar z wizerunkiem Matki Boskiej. Trzykrotnie przebiegają błyskawice koni z zygzakami klasycznych biczów „nerbo” wokół placu, wśród gęstych chmur podnieconych tłumów.

Za woalem lasu piniowego ukrywa się twarz Florencji. Przydomek „pięknej” otrzymała wśród wszystkich miast Italii właśnie Florencja. Do naturalnego dziedzictwa urody wzgórz tokańskich, skąd też wzięła swe łacińskie imię „Arva Florentia”, dołącza się jedyna, w świecie harmonijna, opanowana, gotycka elegancja miasta. „To co tu widzicie, jest jedyne w świecie. Nigdzie indziej natura nie doszła do takiej granicy piękna i wdzięku. Bóg, który stworzył pagórki Florencji był artystą. Nie! Był on snycerzem, rytownikiem, rzeźbiarzem, bronzownikiem i malarzem. Był Florentyńczykiem. „— pisał Anatol France. Niebo dało Florencji największą łaskę, że wszystkie jej dzieła stworzone są przez Florentyńczyków, we Florencji i dla Florencji. Powstał więc tradycyjny, rodzimy styl florencki i był kanonem dla twórców wszystkich epok, i kierunków. Wenecka szkoła posiada wyraźne ramie florenckie. Styl romański, gotycki i renesansowy w architekturze Florencji nie różnią się prawie między sobą. Nawet tytaniczny geniusz Michała Anioła nagiął się, tworząc we Florencji, do jej spokojnego harmonijnego stylu. Nigdy też barok ni nowoklasycyzm nie odważyły się szerzej rozwinąć skrzydeł nad Arno.

Patronem sztuki florenckiej jest Giotto, który — jak sądził Ruskin był nie tylko geniuszem barwy, ale i światła. On i Tintoretto znali nie tylko ideał harmonii barw, ale i tajemnicę barw. Światło więc Giotta przenika powietrze Florencji. Widać też w nim oczy Michała Anioła, Rafaela i Leonarda. Artyści mieli najlepsze widzenie we Florencji, bowiem światło jej jest najjaśniejsze pod całym niebem Italii. Dante nigdzie by lepiej nie napisał „Boskiej komedii”, Botticelli nie dojrzałby nigdzie wyraźniej swych cieli-stych różności, Boccaccio słodczy miłości, Macchiavel przewrotności polityki, a Galileusz praw grawitacji. Najwięcej też światła polyskuje w rubinie wina Chianti.

Najbardziej florenckich ludzi spotkać można od dziesiątka stuleci na Ponte Vecchio. Zapatrzeni w swe pięciodelka złotnicy, ciskający się w kramach ciasnych a bogatych i strumień ludzi wiecznie się dziwiących srebrnej wodzie Arno, górcom tokańskim i swojej Florencji. Ludzi, mających w oczach światło Giotta i kształty mia-

sta o kobiecym przydomku „bella”. Anioł skrzydlaty zwiastuje mu w pochyleniu, jak na obrazie Fra Angelica z Fiesole. Fiesole tak się właśnie pochyła ku Florencji.

Jeszcze raz trzeba wrócić do Rzymu, aby odbyć passeggiatę dwiema siostrzanymi drogami nad Adriatyk: Salaria i Flaminia. Biegną one jak pilne sztafety każda swoją stroną. Błogosławi im na drogę matka Soracte, od której się rozbiegają w różne kierunki: Salaria przez kraj Sabinów w Abruzzo i dolinę rzeki Tronto, Flaminia przez Umbrię do Fano.

Salara, gdy tylko rozstanie się z Tybrem, pędzi na oślep w góry, tryka głową w skały i zatacza się od tego tak bardzo, że ani stu metrów odtąd nie pobiegnie równo. Przychodzi do siebie dopiero w dolinie Tronto, gdy odetchnie balsamem adriatyckim. Gąszcz leśny i skalny przy Salarii pachnie starą łaciną. Soracte jest pomnikiem pieśni Horacego. Wieśniaczki w Górach Sabińskich noszą się z dumą jak siostry tamtych porwanych przez Rzymian. Strażyska potoków do których kurczowo tuli się droga, podstępowane są brukami, łukami i mostkami rzymskimi. Zachowały się nawet cesarskie kamienie milowe.

Za Rieti (Reate — stolicą Sabinów) wychodzą na spotkanie rzymskiego gościńca olbrzymy górskie w sobolowych czapach śniegu. Posta była stacją legionów. Mało gdzie spotyka się piękniejsze imiona wsi, jak przy Salarii: Arquata, Acquasanta, Quintodecimo (Pięteprzezdziesiąte), Spelunca. Bodaj najdłuższą na świecie nazwę ma przysiółek Borgo d'Arquata di Acquasanta di San Benedetto del Tronto. Do Ascoli Piceno wpada się nagle z Salarii, jak do salonu. Monumentalne miasto, w całości zbudowane z trawertynu, zachowało idealnie dostojny wdzięk średniowieczny i klasyczne ambicje. Ulice nazywają się tu rue, z łacińskich rugae, a każdy dom Ascoli jest pałacem, odznaczającym się przede wszystkim stylowym portalem i okiennicami. Numery domów wypisane są na tarczach.

Asculum ma nie byle jaką tradycję. Było pierwszym sprzymierzeńcem Rzymu, a po zajęciu municipium w wojnie domowej przez Cezara stało się drugim po Rzymie rynkiem Italii środkowej.



wej. Pozostała po tym wszystkim gracja klasyczna: kształty budowli, które by się chciało pieścić ręką, smukłości, gładkości i strzelistości i ów niezapomniany włoski dwugłos kolorów: śnieżnej bieli kamienia i czarnej deszczowej patyny. A jeszcze głęboko pod miastem huczy Tronto i chmury zaglądają zza granatowych szczytów, dotykających samego miasta. Do Adriatyku biegnie z Ascoli Salaria przez szerokie ogrody pomarańcz, cytryn i czerwonego winogrodu. Opalowa fala wychodzi na jej spotkanie.

Flaminia dłużej trzyma się matki Soracte, niż ojca Tybru. Gdy już musi odejść w górskie szlaki, zbliża się z ucałowaniem rąk najpierw do matki, a potem do ojca. A potem zaraz sama puszcza się w gęsty las dębowy i upojona swobodą skacze jak koza na skałę Narni, spadającą trzystu metrami do potoku Nera. Może to i nie wypada takiej klasycznej drodze, która po Appii ma najwięcej rzymskich pamiątek i całe pokłady antycznego bruku. Ale Flaminia, mocno przyproszona siwizną pustynnej Kampanii, od Narni nagle odmładza się i nurza już ciągle dalej w dębowej zieleni i zjeżdża jak młódka z góry na pazurki. Mija Terni i uroczyste Spoleto, niegdyś papieską siedzibę i obok miasteczka Trevi, formującego idealny kopiec, osiąga Foligno.

Mało kto podąża dalej za staromodnym, zrównoważonym, obchodzącym góry rytmem Flaminii, zadyszanej już dobrze, której wylot na Adriatyk znajduje się aż w Fano. Podróżnym, śpieszącym do Ankony (najbardziej śpieszno było wojnie) najwygodniej jest w Nocera wspiąć się od razu na wysokość prawie półtora tysiąca metrów pod Monte Penna, aby potem mieć już spokój z górami i tylko jeszcze za Fabriano kluczyć po ciasnych wąwozach przełomu rzeki Esino, z których wysoczyzny zdaje się nie być wyjścia. Można też wybrać się na bliższe drogi do Adriatyku cichą i bardzo zieloną doliną Chienti. Spotka się po drodze miasteczka jak szkatułki z biżuterią — Tolentino, Maceratę, Recanati i Loreto.

Na Via Adriatica nie jest na szczęście bardzo historycznie. Dopiero od Ankony zaczyna się powietrze zagęszczać od dat i nazwisk historycznych, a ziemia od pomników. Na szczyt wdra-

puje się adriatycka historia w Rimini. Od Bari jednak aż po Ankonę można śmiało zlekceważyć historię i odwrócić się od roju mięścin i wiosek rybackich ku morzu. Było widać trochę niebezpiecznie, a trochę niepoważnie ustawiać miasta na samym brzegu morskim, wszystkie więc ambitniejsze stanęły na wzgórzach śródłądzia. Z dala się trzymają od morza wszystkie te, zamknięte w murach, Teramo, Fermo, Castelfidardo, Osimo, Camerino, Recanati, Urbino.

Od rzeki Tronto po maleńki strumyczek Rubikonu nadadriatycka część Italii nazywa się Marchiami (Marche), a Apeniny Marchijskimi. Marchiami zaczęto nazywać od IX wieku trzy pograniczne feuda papieskie: Fermo, Camerino i Ankonę. Szosa adriatycka pnie się z południa na północ po gęstych szczeblach drabiny mostów nad potokami — raz wyschniętymi do znaku ponikami, to znów groźnie wezbranymi rzekami: Tronto, Tesino, Menocchia, Aso, Etevívo, Tenna, Chienti, Potenza, Musone, Aspio, Esino, Metauro, Foglia, Marecchia, Rubicone. W czasie ostatniej wojny były to kolejne niemieckie linie obrony, rzucane pod nogi Drugiemu Korpusowi. Wtedy na mapach nie było pasm apenińskich, lecz „Linia Gotów”, Chienti i Metauro nie były lustrami wód, lecz miejscem zapór ogniowych, Foglia była frontem, Tenna polem minowym, a Esino czynnikiem manewru. Miasta stały się wtedy punktami oporu, kościoły posterunkami obserwacji, a mostów nie było wcale. Do tego wszystkiego wojnie była potrzebna Italia.

Rynnami dolin, wpadających do Adriatyku, spływa do miasteczek i osad pobraża wino czerwone i białe, gdzie czeka już na nie wyborna ryba adriatycka. Życiem rybaków są tu połowy, kobiet — suszenie sieci i kręcenie milowych lin konopnych na kołowrotkach, dzieci — powroty rybaków. Nikt nigdy nie odmawia doraźnej pomocy rybakom przy ciągnięciu nadbrzeżnej sieci. Jest to więc zawsze tłumny obrzęd, tym bardziej, że ryby sprzedaje się wprost z łodzi i sieci w drodze licytacji. Wszystko, co jest darem morza, idzie na stół rybacki. Rybą nazywa się wszelkie głowonogie i krabie pospółstwo. Z sieci wyrzuca się tylko gala-

retę meduz, stulbi i chelbi. Tej nawet koty nie chcą ruszać. Siekane sepie (calamaretti) uchodzą natomiast za wielki przysmak. Ślimaki jedzą Włosi chciwiej, niż winogrona. Mogą je jeść przez cały dzień, popryskując cytryną, tak jak Rosjanie gryźć pestki dyni. A jest w Adriatyku ślimaków pewnie tyle, co ziaren piasku. Jakies chioccirole, patelle, lumache. Szczęściem ostrzygi wymagają specjalnej hodowli i nie wszędzie psują do reszty zapach morskiej wody i sosen adriatyckich. Za to z dala trzeba obchodzić przekupniów, zalecających swe tartuffi del mare. Włosi przewracają oczyma z zachwyty, gdy tylko doleci ich woń tych żółtych ślimaków, schowanych w kostropatej muszli. Otwierają je nożem, po czym z żarłocznością wyluskują ślimaki brudnym dużym palcem z czeluści muszli żywcem do ust. Okrzyk „vongole” prowadzi podróżnego nad Adriatykiem od miasteczka do miasteczka. To nazwa czarnej morskiej, szczeżui, zjadanej krociami przez Włochów, a która chyba ma coś wspólnego ze słowiańskim „węgłem”.

Prawdziwie rajskim przysmakiem są natomiast ryby, zwłaszcza płaskie sole i dużogłowe merluzzi z trójdzielnym kręgosłupem. Salatka z małych rybek w oliwie to już raczej włoska specjalność. Najlepiej jest rybę zjeść w San Benedetto del Tronto, w „Lungomare” w alei oleandrów, mając w oczach różnobarwne trójkątne żagielki kutrów, jak małe motylki obsiadające wilgotną ziemię.

Laurowy gaj spływa na drogę Adriatycką jak powłóczysta suknia Loreto. Miasteczko wzięło nazwę od tych właśnie laurów — Laurentum. W Loreto znajduje się najbardziej ludowa bazylika świata. Nazaretański domek Matki Boskiej postawili Angeli w szczerym polu, wśród drzew wawrzynu. Z czasem nad domem wyrósł kościół, a wokół kościoła miasteczko. Ale Loreto nie straciło swego wiejskiego charakteru. Bazylikę wypełniają co dzień procesje chłopów. Może kult Matki Boskiej Loretańskiej jest dlatego w Polsce tak wielki, że i nasza kultura jest wiejska, jak ta świętość adriatycka. Królowę Korony Polskiej sławi się w litanii loretańskiej czterdziestą siódmą inwokacją. Sztandary tureckie Sobieskiego i „Cud nad Wisłą” zdobią polską kaplicę bazyliki, ręce

polskich żołnierzy uratowały ją od pożaru w czasie ostatniej wojny po bombardowaniu niemieckim. Z Loreto jest najbliżej do Polski.

Adriatica schodzi z drogi Ankonie i osłaniającemu ją olbrzymowi — Monte Conero. Na północ od Ankony miasta nadmorskie stają się już bardziej szlachetne, zamczyste, kościelne, monumentalne, zamknięte w murach. Dumnie noszą swe rodowody herbowe i czoła, poryte bliznami historii — Senigallia, Fano, Pesaro i Rimini. Rimini jest bramą północnej Italii. Jak blask słońca zza skłębionych chmur Apenin biegną stąd promienie dróg we wszystkich kierunkach: ku Rawennie i Comacchio, Ferrarze, Weronie i Wenecji, Bolonii i Mediolanowi, ku San Marino. Inne też jeszcze promienie wysyła Rimini. Pochodzą one z oczu pięknych Riminianek, dumnych z wielkiego romansu swej Franceski. Gęsto pada rosa miłosna w Rimini.

Głową i mózgiem Italii jest jej północ. Dwa porty, sięgające po imperia, odkrywające lądy, trzęsące polityką świata: Wenecja i Genua, ojczyzna Kolumba, niegdyś zaciekle rywalki. Mediolan i Turyn — myśl polityczna i potencja przemysłowa, Bolonia, Padwa, Modena, Ferrara, niewygasłe od wielu wieków ogniska nauki, rój miast bogatych i mądrych o nazwach brzmiących jak tytuły rycerskich rapsodów: Verona, Parma, Rovigo, Reggio, Ravenna, Cremona, Piacenza, Novara, Cuneo... Potrójna korona z szafirów wieńczy tę głowę Italii: Lago Maggiore, Lago di Como i Lago di Garda.

Nadmorski pas ziemi od Rimini po Wenecję wypraszają ciągle Włosi od morza. Ale śmierć rychłą wróżą mu grząskie, mgliste, malaryczne bagna i trzęsawiska jeziora Comacchio, rozkiesłego ujścia Padu i laguny weneckiej. Rawenna zwolna tonie w błocie. Kwitnące to kiedyś miasto, wychylająca się ponad potop imperium ostatnia rufa cesarstwa rzymskiego, a potem stolica egzarchatu, skupisko artystów i uczonych, dach chroniący wygnańca Dantego, dziś żyje oczekiwaniem śmierci wśród dawno zbudowanych grobowców i sarkofagów, wykładanych mozaikami.

Wenecja zaś, nie mogąc ustać na lądzie, stanęła na morzu. Morze jest fundamentem Wenecji. „Okrętem z kamienia” nazywa

ją Morlach w wierszu Mickiewicza. Z ożenku Wenecji z morzem wyszło potężne potomstwo. Dożowie weneccy tytułowali się panami „ćwierci i połowy imperium rzymskiego”. Weneccjanie zabrali z Aleksandrii relikwie św. Marka Ewangelisty i zasiali je w ziemię jednej ze swych wysp, ustawiając na jej straży na granitowej kolumnie ewangelicznego lwa ze skrzydłami. Potem przywieźli złoczone konie Lyzypa z hippodromu Bizancjum i ustawili je obok skrzydłatego lwa. Na wieżach kościoła św. Marka i na łukach Pałacu Dożów rozpięli sztandar swojego nieba i zbudowali „najpogodniejszą republikę”. Morze stało się dla nich gościńcem, który biegł przez prawie wszystkie wyspy Adriatyku i Morza Egejskiego do Bizancjum. Za tę wielkość Wenecji mścili się później na niej bez różnicy tyrani dalecy i bardzo bliscy.

Jedno ramię Wenecji przez długie wieki zgarniało do siebie skarby Wschodu, drugie Słowiańszczyzny. Stąd bierze się chyba kolorowość Wenecji. Sw. Marek jest rapsodią kolorów. Malarstwo weneckie jest niezrównane w kolorystyce. Niebo, pałace, woda kanałów, mosty, wzorzyste stroje kobiet. Pałace z białego marmuru, płaszące w ciemnozielonej wodzie. Księżyc, czyniący to samo. Szczególnie wiele jest w Wenecji złota. Nie darmo Wenecja była „królową Adriatyku”. Purpurę na jej ramiona narzuca zachodzące słońce.

Via Emilia dzieli Italię jak ułamek na serce południa i rozum północy. Nieszczęśliwe są narody, które mają w mianowniku serce. Za mało ich jest, by mogły sprowadzić świat do wspólnego mianownika. Ludzie nie są cyframi, toteż Romanii w ślad za potokami apenińskimi przekroczyła drogę Emiliańską. Dach Apenin dzieli również Włochów na pogodnych i smutnych. Ku Toskanii, na południe, mniej pada deszczu, słońce jest zawsze gorące, powietrze przejasne, kwiaty, wino rubinowe i ludzie weseli. Ulewy ściekają gęsto z apenińskiego dachu na północ, roztokami Romanii i Emilii. Skąd ma się brać radość ludziom, skoro ziemia im tu ucieka spod rąk? Apeniny Emiliańskie wietrzeją i skały ich obracają się w góry piachu, rządzące się swoimi tylko prawami, ludziom nieposłuszne. Jesienią i zimą góry te zwolna spływają ku morzu. Błoto wtedy

podchodzi pod okna chat góralskich, jak widmo. Lawiny gór, przeżartych deszczami, lecą w przepaście, gdzie czekają na nie żółte wody. Ubogie są więc romańskie Roztoki, choć i one mają swoje rodowe klejnoty. Miasta Romanii są niewielkie, bo chłopci dzierżawcy — *contadini* kurczowo trzymają się swoich sypiących się zagonów i poletek. Kraj to jest chłopski, żylasty, góralski, głodny ziemi. Forlì jest romańskim Nowym Targiem, tylko że, jak wszystko we Włoszech, znacznie starszym i o wiele dorodniejszym. Srebrnymi spinkami na kożuchu Romanii są *Brisighella*, *Modigliana*, *Rocca San Casciano*, *Castrocaro*, *Bagno di Romagna*, *Meldola* i oczywiście matka fajansów — *Faenza*. Zamki na górach pobłyskują jak wianuszki muszelek na kapeluszu góralskim. *Predappio* jest już nowym sprawunkiem tej ziemi, jak zegarek przy cusze.

Linia Emilii przekreśla na pół wszystkie leżące przy niej miasta. Obchodzi tylko na palcach Bolonię, nie chcąc zamącić ciszy jej uczelni. Jak paciorki na różańcu równiutkim rzędem idą po niej miasta zdrowaśki: *Cesena*, *Forlì*, *Faenza*, *Imola*, *Modena*, *Reggio*, *Parma*, *Piacenza* i ojczenasze: *Rimini*, *Bolonia*; *Mediolan* jest jak „Wierzę”. Odmawia się je w katedrze. Gdyby zburzyć cały *Mediolan*, a pozostawić tylko jego katedrę, sława *Mediolanu* nie byłaby mniejsza, niż jest. Katedra *mediolańska* jest jak zmateralizowana modlitwa. Wszystkie nasze dzienne i niecodzienne sprawy uciekają jej kolumnami, łukami i wieżyczkami w niebo. Cały kościół jest w mroku, a tylko Męka Pańska w jego szczycie jaśniej o każdej porze. Zwisa ona nad ludźmi, jak grom Bożej sprawiedliwości.

Como jest jak żrenica *Italii*, przez którą patrzy cała jej dusza. Patrzy antycznym geniuszem *Pliniusza Starszego*, zgłębiającego tu tajemnice przyrody, oczyma *Cezara*, osiedlającego nad jeziorem *Rzymian* i *Greków*, wzrokiem *Volty*, odkrywcy ogniwa elektrycznego, wizjami *Bramantego*, *Gwidona Reniego* i *Paola Veronese*, natchnieniem budowniczych gotyckiej katedry, baptysterium, pałaców, wież, dobrocią oczu twórcy włoskiego eposu mieszczańskiego, *Manzoniego*. Nad *Como* zaczynają się dzieje „*Narzecz-*

nych” — „I promessi sposi”, tak ogromnie włoskich, jak polskim jest „Pan Tadeusz”. Jest w nich zdanie o tradycjach: że jeśli się im nie pomaga, mówią same o sobie bardzo niewiele. Wszystkiego co jest w Italii wielkie i piękne, jest w Como po trochu. A jednego jest więcej, niż gdzie indziej: oślepiającej urody natury.

Naprzeciw Bellagio, skąd się jezioro Como rozchodzi w dwa ramiona, a obok Cadenabbii, znajduje się park natury i Villa Carlotta ongiś własność księcia saskiego, i żony jego Charlotty, księżniczki pruskiej, dziś własność państwa. Wszystkie grajki Boże, jakie są wśród drzew i kwiatów pod słońcem, grają tu niebu „Święty Boże, święty mocny, święty a nieśmiertelny”. Grają na wszystkich instrumentach: na korze lipowej, na listkach eukaliptusu, na fletach bambusów i papirusów, na arfach sosen, tuż olbrzymich, sekwoj i araukaryj, na wiolonczelach agaw i kaktusów na trąbkach kaczeńców, kamelii, magnolii wielkokwiatowych, azalii, hortensji, begonii, rododendronów. Jak kity kapelmistrza palmy królewskie, chilijskie i meksykańskie dyrygują szumom cedrów libańskich i marokańskich, serafickim głosom modrzewi, poszeptom kamfor i platanów, muzyce dębów. Płatki róż padają gęsto w tej symfonii, imitując ciszę, a wśród nich ibiscus, róża chińska. Pałki bębnow — cytryny i pomarańcze rytmizują krzyk orchidej — saksofonów. Człowiekowi wydaje się, że to wszystko bajka i że już przeszedł między duchy. Na tamten świat wiezie mostek nad jarem, gdzie rosną wielkie, nierzeczywiste, biblijne paprocie australijskie. Nagle tu w tej radośnie zielonej gęstwinie wydaje się, jak po wypiciu wody letejskiej, że ten świat jest najpiękniejszym ze wszystkich i że wszystkie cuda przed nami i poza nami są urojeniem. Nigdy świat nie był tak piękny, jak dziś, na oczach naszych.

W willi Carlotta jest wiele malowideł i posągów. Wśród nich Thorvaldsena „Pochód Aleksandra”; Canowy „Amor i Psyche”. Miłość, która pragnie nagości ciała, ale dla której najważniejsza jest łaska duszy.

Italia — Amor i Psyche.

Z Rzymu na Via Appia trudno się wydostać z płataniny ulic, placów i murów. Jeszcze trudniej wyrwać się z ramion Rzymu sercu. Dobrze że poświata miasta rzuca blask daleko, na starożytną Appię, na antyczne pustkowia Kampanii i na Góry Albańskie z Rzymskimi Kasztelami. Dopiero dalej blask Rzymu niknie, tonąc na zakrętach spadającej z Gór Albańskich drogi w jeziorze Nemi. Stąd się zaczyna melancholia niegdyś błot pontyńskich, a dziś skolonizowanej Littorii.

Brama św. Jana, u której poczyna się Via Appia nazywała się w dawnym Rzymie coelimontana — wiodąca w wyże niebieskie. Może być, że aniołowie schodzą tędy z nieba na ziemię, bo zwłaszcza o zachodzie słońca nad rzymską Kampanią u bram Rzymu pada deszcz złota i przestwór mieni się od gorejącej purpury. Kurz na drodze jest wtedy także złoty. Widnokreśli nieba są fiołkowe. Kopuła św. Piotra unosi się nad ziemią, jak błogosławiąca pielgrzymom z daleka ręka Ojca świętego. Kościół apostolski musiał stanąć w Rzymie, skoro tędy wiodła ulubiona droga aniołów.

Via Appia Antica tym się odznacza wśród wszystkich dróg, wiodących do Rzymu, że ozdabiają ją pinie, dzielące z laurem i cyprysem panowanie nad królestwem poezji klasycznej. Może dlatego wydają się nam, podobnie jak cedry na Libanie, cieniami zabłąkanymi z umarłego świata. Pinie są ostatnim tchem życia Appii antycznej i rzymskiej Kampanii. Jeszcze tylko i wierny dąb czasem zjawia się na cmentarzysku kampańskim i przystaje pobok grobowców, akweduktów i szepta pacierz nad mogiłami mogił.

Szumia za to drzewa i szumi wino na Górach Albańskich. Dro-

dze Appijskiej śpieszy się jednak do Neapolu, więc bokiem mija rozkoszne góry, wpadając tylko z musu w rynek Albano i przystając na kubek przezystego wina w Velletri. Kto by nie przystanął? Bursztynowy kolor wina Frascati jest ostatnim na drodze Appijskiej błyskiem słońca Rzymu. Poniżej na drogę pada chłodny cień i nic już się nie dzieje. Odwieczne jakieś przekleństwo ciąży nad obszarem błot pontyńskich. Pliniusz podaje, że zapadło się tu pod ziemię trzydzieści trzy miast. Próżno cesarze i papieże wysilali się przez długie wieki, aby tę ziemię ludziom przywrócić i szatańskie jej pobić wyziewy. Legiony polskie, wysłane tu przez Napoleona, zdziesiątkowała zaraza i dzicy bryganci. Miasta postawione przez rządy faszyzmu runęły pod ciosami ostatniej wojny. Cisterna na drodze Appijskiej przestała istnieć. Tędy biegł skraj pozycji przyczółka pod Anzio. Z większą słusnością, niż błonia paryskie, można by nazwać błota pontyńskie polami elizejskimi. Widma eukaliptusów stoją zapatrzone w zielone kanały, jak w wody letejskie. Jeden ze strumieni nazywa się Ninfa. Miasto tego imienia zapadło się w gruzy i nazywane jest dziś „Pompei średniowiecza”.

Już z daleka widać ścianę Gór Auzońskich. Appia, przybiegłszy tu, łąsi się olbrzymom i przymila, by ją gdzieś bokiem puścić. Gospodaruje tu, jak klucznica wielkiego śpichlerza, Terracina. Za ścianą gór jest już inna komnata półwyspu. Terracina jest barierą graniczną: dwu krain — Kampanii rzymskiej i neapolitańskiej; dwu klimatów; dwu stref wegetacji; przez długi czas dziejów różnych państw: Rzymu cesarskiego, a potem papieskiego i Wielkiej Grecji, Italii kapuańskiej Hannibala, państwa Gotów, królestwa bizantyńskiego, księstwa udzielnego i królestwa niezliczonej ilości dynastii całej Europy. Była też dawniej Terracina granicą dwu narodów: łatyńskiego i greckiego. Pozostała granicą dwu typów etnicznych: włoskiego i neapolitańskiego, który jest dziedzicem Greków. Terracina była bramą greckiej kultury do Rzymu.

Droga Appijska uderza na oślep w góry, przybrane w szachowniczkę oliwek, olbrzymiejące skaliście i poprzysrajane ułomkami architektury rzymskiej i średniowiecznej. Nagle urywa się przepaścią

owa góra, Pisco Montano, jakby w przerażeniu, by nie wpaść w głębinę morską. Korzysta z tego Appia i wymyka się górą pod starożytnym łukiem Porta Napoli. Z ulgą uśmiecha się opalowemu morzu.

Terracina stanowi pół drogi między Rzymem a Neapolem. Była to więc zawsze wystarczająca okazja, aby rozpróścić zmęczone podróżą członki i wstąpić na świetną świeżą rybę z niezłym vino di regione. W tym miejscu Italii najlepiej też oceniają wieprzowinę, a pobliska Formia słynie ze świńskich targów. Włosi mają miłe przyzwyczajenie podjadania w podróży. Biura podróży, tak dziś, jak wieki temu, wliczały stale do kosztów przejazdu posiłki. Wyszypywało się z pojazdów towarzystwo wszystkich klas społecznych i klas biletów z woreczkami, torebkami, koszyczkami, dziatwą, fiaskami jak ptasi drobiazg, zwabiony karmią i ochoczo zabierało się do dziobania suto w oliwie pływających przysmaków, poczynając od gęstej pasty. Znakomity filozof polski, Józef Kremer, podróżując w r. 1852 po Italii, opisuje takie riposo podróżne na szlaku Neapol — Rzym w Molo di Gaeta (Kremerowi zawdzięczamy najlepszy opis podróży przez Włochy aż do czasów Żeromskiego) Na wieść o obiedzie z kabrioletu pocztowego wysypali się podróżni jak z konia trojańskiego i po długim czasie dopiero konduktor musiał odrywać ich przytomność od talerzy i kielichów. W owych latach Kremer odbył drogę z Neapolu do Rzymu poszóstną kareta (od Gór Albańskich tylko dwukonną) od świtu do południa następnego dnia z dłuższą przerwą na wspomniany obiad wieczorem i jeszcze dłuższą na śniadanie w Aricci. Bez mała tyle co dziś, kiedy się zdarzy po drodze poważniejszy defekt wozu i trzeba przenocować.

Kampania neapolitańska wita podróżnych z Rzymu uśmiechem gaetańskiej zatoki i owocami z Fondi. Soczyste winne jagody, pomarańcze, mandarynki i jabłka smakują w Fondi jak w raju i wędrują stąd na rynki Rzymu. W samym Fondi sprzedają je na drogach dzieci. To chyba tu przyszła na myśl Goethemu piosnka:

Znasz-li ten kraj,
Gdzie cytryna dojrzewa,
Pomarańcz blask,
Majowe złoci drzewa?

Wczesną wiosną kwitną tu przedziwnie mocno pachnące róże.

Igliczka zamku nad Itri, wąskiego i strzelistego, jak jego imię, serpentyny nowoczesnej drogi plotące się w warkocz z brukowaniem starej Appii, coraz bogatsza gąszcz drzew i szeroko oparta o morze Formia. Kiedyś ruchliwe, handlowe miasto, dziś rumowisko, z którego wstają niepokonane ludzkie siły. Im bliżej Neapolu, tym więcej resztek klasycznych. Jeszcze przed Formią była rotunda grobowca Cicerona, za Formią w Minturno arkady wodociągu, a nad rzeką Garigliano zaczarowany przez czas zakątek rzymski: spory fragment płyt Apii, most i ruiny teatru. Pinie stoją na warcie tych szczątków. Garigliano, nosząca w górnym biegu nazwę Liri, stanowiąła wraz z Volturmo front, którego zwornikiem było bliskie już stąd Monte Cassino.

Drogi Appia i Casilina (z Rzymu przez Monte Cassino) zbiegają się przed Kapuą, pełną starożytności i rozbitą w ostatniej wojnie. Równina nad Volturmo była zawsze niebezpieczna dla wojsk obozujących. I Hannibal i Cezar potracili tu legie, którym zasmakowały dziewczęta i wino Kapuy. Zaznały tych rozkoszy także obozujące tu legiony polskie generała Jana Henryka Dąbrowskiego.

Neapol jest blisko. Appia poprawia swe szaty, poszerza się i wachluje roslętymi platanami. Ziemia bucha żarem zmysłów. Kampania neapolitańska rodzi podwójnie ciężkie trzody i dwakroć liźniejsze owoce, niż inne ziemie Italii. Odkrył to urzeczony jej urodą Wirgiliusz, pisząc erotyki do ziemi w „Georgikach” i wzamian przez nią przytulony na wieki. Drzewa ogromne, ogrody gęste, owoce płonące puszą się w naturalnej cieplarni, łagodzonej tylko delikatnym wietrzykiem brezza di mare. W miejscu, gdzie drzewa tworzą gęstwinę prawie leśną, na Capodimonte, drogi rozbiegają się jak delta wodna i wlewają się zewsząd w miasto bezgraniczne.

Trzeba mrużyć kilkakrotnie oczy, aby uwierzyć, że się stało

w obliczu jednego z cudów globu. Pierwsze wrażenie, to ogrom lazuru. Potem ogrom horyzontu, nabitego po stronie lądu jak nie- skończony pas blaszkami i muszelkami domów. Wreszcie majestat Wezuwiusza. Wulkan był bogiem dla starożytnych. Neapol można pokochać tylko od pierwszego wejrzenia. Z Capodimonte schodzi się ku coraz niższym kręgom jego piekieł. Rajski widok dostrzega się tylko z najwyższej galerii — z Capodimonte, Vomero i Posillipo. Niebo wobec koloru zatoki jest blade, niemal płowe. Białe są grzywy fal i skały, na których stoją wyspy i spiętrzony brzeg od Castellammare aż po Sorrento. Zielone jest wszystko, co jest blisko. Szare na białych fundamentach wyspy, jak pogubione siedmiomilowe buty morskiego olbrzyma. Na całej długości brzegu zatoki leży bicz pereł, zmieniających barwę zależnie od pór dnia. To kamienice i domki. Nad wulkanem unosi się zawsze biała, bura lub przeźroczysta chmura — pino vulcanico. Tak wygląda na ziemi piękno od którego boli serce.

Piękno obrało sobie za jedną ze stolic ziemskich zatokę neapolitańską. Śmierć tu także zbudowała swą twierdzę i sztandary jej łopoczą na szkielecie Wezuwiusza. Patrzą sobie czujnie w oczy oba bóstwa jedno szafirowymi żrenicami, drugie oczodołami wulkanu. Co jakiś czas zwierają się w śmiertelnym uścisku i rozszczepiają się dyszące od walki. Morze — piękno pokonało wiele fortów śmierci — wulkanów i pokryło je swoim całunem, śmierć z Wezuwiusza zasypała Stabiae, Herculaneum i Pompei, skinęła gestem przeznaczenia Kumom, skąd przyszły prawa rzymskie, Bai i wilłom łacińskim na Pozzuoli, ciskała grom po gromie w ostatniej wojnie w Neapol, zachwiałwszy andegaweńskim Castel Nuovo. Pozostała tylko pięknu pośmiertna parada w muzeum. Goethe pisał o Neapolu, że pod najczystszy niebem leży tu ziemia niespokojna. Orgia życia przeplata się z martwością ruin. Wisi nad Neapolem jakieś memento. Ale tu też najbardziej bogi i ludzie szaleją, a życie ma smak dionizyjski.

Los okrutnie potrafi wydrwić ludzką uciechę. Wystawił na pośmiewisko stolicę największego z cesarów — Babilon, wykpił Pompei, na którego bramach pisano „Hic habitat felicitas”. Z tej

pysznej oazy bogactwa i rozkoszy pozostały spelunki zatechłych zamtużów i marne ślady innych ludzkich radości. Pompei jest blisko żywego Neapolu.

Dusžno w nim jest od ciżby ludzkiej, która stąd nigdy nie ustępowała w historii. Mnożyło się miasto króliczo, a proles jego tuliła się do wszystkich zakamarków. Neapol, ograniczony barierą wzgórz, dusi się od swej progenitury. Na początku była Parthenope czyli Palaepolis, Palaepolis zrodziła Neapolis (Nowe Miasto), Neapolis zrodziła Capodimonte, Capodimonte zrodziła Vomero. A w samym domu, w Neapolis, rodziło się jak piasek nadmorski pogłowie ludzi, ulic, dzielnic. Jeszcze za Horacjusza można było odetchnąć w „otiosa Neapoli”. Nawet jeszcze Słowacki przenosił Neapol nad Rzym, może dlatego, że była to odwieczna przystań poetów, morze rybaków poezji. Dzisiejszy Neapol nie jest dla miłośników spokoju. Otium antyczne zastąpiło negotium nowożytne.

Greckie są takie miasta nad morzem, gdzie życie, stanąwszy nogą na lądzie, ściele sobie przede wszystkim gniazda tuż przy brzegu, a potem, jeśli się zapuszcza gwiazdzistymi ramionami w głąb lądu, nie dba o staranność mieszkalną, skoro i tak musi wrócić na morze. Rozchodzą się więc jak palce z dłoni, jak liście palmy, ulice Neapolu w góry, otaczające miasto. Budowane są bez myśli architektonicznej i estetycznej, długimi, stromymi i wysokimi ciążninami. Nie trzeba im przestrzeni do oddechu ni zieleni ni wygody, bo służą tylko za nocne przytuliska żeglarzom i rybakom. Domy pną się na coraz wyższe tarasy, rosną ku górze jak piwniczne rośliny, byle tylko stanąć blisko morza. Ludzie gnieźdzą się po zarośniętych podwórkach, w stróżowskich salonikach, w rozsypujących się przybudówkach, w nyżach, cisną się do ścian, spinają na poddasza.

Dołem szumią przyprływy i odpływy ludzkiej fali. Nigdzie pewnie na świecie nie żyje tylu ludzi na ulicy, co w Neapolu, latami nie oglądając dachu. Lazzarone, to jest łazik programowy, filozofujący, że tak najlepiej, lecz prawdziwym dzieckiem ulicy neapolitańskiej jest scugnizzo, bezdomny ulicznik, bękart, żyjący jak

pies z odpadków i żebrania. Zresztą któż w Neapolu nie żyje na ulicy? Sklepy i warsztaty tarasują zaulki. Po rybnych, jarzynowych i owocowych straganach, rozścielanych na bruku, depcą przechodnie, a psy oblizują się z daleka w pokorze. Nosem ryją po ziemi pobite jagnięta. Cieknie woda z lodu, na którym ćwiartuje się bez przerwy melony i arbuzy. Tuż figi dorodne idą o lepsze z owocami opuncji. Złote góry nieszpulek i brunatne kopce gotowanego bobu płyną przez ręce ludzi. Toczą się wózki z cytrynami — jedyna zieleń uliczek — przybrane liśćmi i owocami, z których wyciska się smakowitą spremutę. Naprzeciw stoją szyki kukurudzy. Zapachy biją zewsząd obłokami. Krzyki wydzierają sobie wzajemnie panowanie nad tłumem, kokietując figlarnymi mlaskaniami, westchnieniami, głoskami pytajnymi lub zgoła waleniem pięścią lub nożem w banki straganowe. Tu dopiero buchają rakiety poezji: „Sciore! Vi' quanto è bello! Sciore!”. W dialekcie tutejszym znaczy to: „Kwiaty! Spójrz, jakie piękne! Kwiaty!”. „Dotknij mojej pachnącej ruty!”. „Cytryny kwaśne, lecz słodkie”, „Cóż za sorbet! Jak z grotu lodowej!”. „Jak można przejść mimo takich pomidorów!”. „Kupujcie orzeszki! Szkoda czasu!”. „Arbuzy! Jakiż wspaniały płomień!”, „Sztuki złota — winogrona z Salerno!”, „Złoto nie jagoda!”, „Owoce na miłość dziś w nocy!” (figi), „Najlepsza kolacja — pizza!” (Pizza napoletana jest to podplomyk z pomidorami, rozmarynem i solą; olbrzymia porcja kosztuje grosze). Wysokie piętra i ciasne uliczki sprzyjają handlowi koszyczkowemu. Gospodynie uruchamiają na stałe koszyczki — windy na dno ulic i do sąsiadek naprzeciw.

Nie tylko chlebem człowiek żyje. Ulica Neapolu roi się od szarlatanów, wróżbitów, czarnoksiężników, przepowiadaczy, jasnowidzów, cyganów, okpiboków, wydrwigroszy, fałszywych mnichów, śpiewaków, recytatorów, szachrajów, sprzedawców lubczyku i robaczków świętojańskich, kabalarek, dziewcząt z papugami, czarnogiełdziarzy, kupców na wszystko, a nade wszystko od złodziejasezków, licznych jak gwiazdy na niebie. Stręczyciele prowadzą w straszne zaufki do ślicznych dziewcząt. Neapol jest blisko Pompei.

Dziwne, że Neapol ma niewiele i ubogie trattorie. Neapolitańczycy znajdują ujęcie dla swych temperamentów w nieustannym włóczeniu się po ulicach, gapieniu się na morze, w przesiadywaniu u ceremonialnych balwierzy oraz w spijaniu lemoniad i siorbaniu arbuzów na ulicy. Większe też, niż Rzymianie mają nabożeństwo do ciast i słodczy. Potrawą narodową jest tu oprócz pizzy — zupa rybna, zuppa di pesce. Przysmaku tego, podobnie jak kołodunów wileńskich, nie należy wachać. Przypomina on zupeł o tyle, że pływa w zawieszistej polewce. Składają się nań jednak co najmniej dwa rodzaje gotowanej ryby, za czym calamaretti czyli atramentnice, sepie, kraby i vongole czyli ślimaki morskie. Bardzo to Włochom smakuje. Nie pogardzają też makaronem z owymi morskimi szczeżujami — vermicelli alle vongole. Pasta oczywiście każda jest w wielkim poważaniu.

Molti sono dei uomini capricci,

A chi piace la pizza

A chi i pasticci.

(„Rozmaite są ludzi kaprysy, jednym idzie w smak pizza, a innym pasztety”). Inne potrawy neapolitańskie wyliczają książki kucharskie i wszystkie uczciwe bedekery.

Najulubieńszą nazwą tawern Neapolu jest pizzeria, a więc miejsce, gdzie podają pizzę. Gardło się tu przepłukuje przeważnie Falernem, Lacrima Cristi, tu i ówdzie Capri i Ischią. Tawerny są obskurne. Na Santa Lucii jest ich chyba najwięcej. Ma też Neapol i luksusowe miejsca, jak n.p. słynną mieszczańską „Ciotkę Teresę” („Zia Teresa”) na brzegu morskim przy Via Partenope. Błogosławieństwo lokalu spływa z portretu zażywniej padrony, która smażąc kiedyś smacznie świeżo złowioną rybę na tym miejscu wybrzeża, rzuciła fundament pod dzisiejszą świetność zuppy di pesce, minestr ożenionych z tłuszczem, ragù, pollów, pulpetów, caprettów z różną i mozzarell.

Ma Neapol i inne oblicze, które dostrzec można nie tylko z galerii wzgórz otaczających. A więc z Capodimonte, gdzie jest park królewski, z arystokratycznych i nowoczesnych dzielnic Vomero

i Posillipo, czy z średniowiecznego pałacu z bajki, San Elmo, gdzie się też wznosi misternie piękny kościół i klasztor cystersów, świątynie artystycznej dumy Neapolu. Przecież w Neapolu urodziła się piosenka „O, sole mio!” znana całemu światu. Widać tyle jest tu słońca, że dobrodziejstwa jego starczy całej ziemi. Do słońca w Neapolu trzeba iść, przepychając się przez tłum niezmiernie długiej i pryncypalnej Via Roma, chłonąc jego przedsmak na Placu Plebiscytowym, gdzie oczy porywa masyw pałacu królewskiego i kolumnada św. Franciszki i albo przez elegancką Chiaję lub ubożuchną Santę Lucię docierając do parku Villa Nazionale i bulwaru Caracciolo. Stąd już można wylawiać z lazuru, jak skarby czardziejskiej groty, sznury pereł wybrzeża, diamenty wysp, srebrne łuski fal i przesypywać z ręki do ręki złoto słoneczne. Można zobaczyć to nawet, co jest w głębi morza — w akwarium Villi Nazionale. I to, co jest w głębi serca widzi się stąd najlepiej.

„A Napoli si nun se canta, se more”. Piosenki rodzą się w słońcu Neapolu, jak grzyby po deszczu. Jest ich krocie, a jeśli która dochodzi dłuższego żywota, płynie stąd w świat. Jak diamenty z afrykańskiego łądu, tak pieśni zatoki neapolitańskiej są najdrogocenniejsze. Wiele z nich stało się skarbami kultury powszechnej, jak *O, sole mio!*, *Santa Lucia*, *Torna a Sorrento!*, *O, mia bella Napoli*, *La palomella*, *Marenariello*, *Io t'ho incontrata a Napoli* czy *Funiculi-funiculà!*. Żywiołowa ta, żartobliwa canzonetta powstała na pamiątkę otwarcia kolejki linowej na Vomero w r. 1880 (*funicolare*). Neapolitańczycy nie mówią, lecz śpiewają. Nieskończone misterium zaślubin morza ze słońcem wyzwała widać ten śpiew z duszy ludzi. Tańczy się też ciągle na weselu natury. Tarantella jest córką Neapolu.

Jak obrzędy weselne, tak odmiany słońca zmieniają w Neapolu formę ceremoniału radości. Kilkakrotnie w roku osiąga ona zmysłowe, orgiastyczne, dionizyjskie zenity. W święto Piedigrotty, w obchód karnawału, w dzień św. Antoniego, w dni cudu św. Januarego tłum Neapolu wylewa się na ulice, rozgrzewa się pieśnią, winem i słońcem i rozżagwia się do czerwoności pogańskim szałem faunów, menad i bacchantek, wiruje, kotłuje się, przebiera w ma-

ski i kostiumy, rzuca konfetti, lampiony, kokardy, kwiaty, piszczy, trąbi i bębni, obłapia się wzajemnie aż do świtu. W dni te na ulice wychodzi niezmienniona od wieków, pogańska, grecka dusza, znana nam z mitów. Piedigrotta, w dniu 7 września, przyklejona jest dziś do święta Matki Boskiej, ale dionizyjski ten obrzęd opisuje jeszcze Petroniusz w „Satyricon” jako starą tradycję. Podniecony, agresywny tłum wrzeszczy swoją niepojętą gwara, niezrozumiałą dla wszystkich innych Włochów, wali w bębny, hałasuje na trąbkach, zakończonych „językiem Menelika”, bije się po głowach kulkami papierowymi, wkłada zagadany niespodzianie na głowę papierowe hełmy, a śpiew wierci uszy chropawą dysharmonią. W dniu tym tłum neapolitański nie znosi oporu ni kwaśnych mian; każdy obowiązany jest przykleknąć przed bóstwem Dionizosa. A w dzień św. Łucji marynarze wrzucają przechodniów do morza.

A jednak wiele jest podobieństw neapolitańskiego kroju kultury do naszego. Zwykliśmy królową Bonę uważać za świekrę małżeństwa kultur polskiej i włoskiej. Ale družbów było wielu, kiedy tyle jest podobieństw. Oto właśnie w Neapolu obchodzi się „weneckie zapusty”. W Wielkim Tygodniu odbywa się pielgrzymkę po Grobach Pańskich. Wielkanoc świętuje się wystawnym jedzeniem. Gody żłóbkami Dzieciny, szopką, choinką i turoniem. W Neapolu przetłumaczono po raz pierwszy na obcy język „Quo vadis”, drukowane w miejscowej gazecie (rok 1897). Muzeum w Neapolu posłało dar Sienkiewiczowi. Nie ma w Italii miejsca, skąd by nie można dostrzec Polski.

Opuszczając Neapol poprzez tłumne uliczki i plącyki z fontannami, spójrzmy nań jeszcze raz z góry. Jest jak gałąź kwitnących migdałów, rzucona na niebo.

Brzeg zatoki neapolitańskiej jest granicą słońca na ziemi. Patrząc z brzegu na złote i srebrne iskry, odpływające ku wspom, wydaje się, że stamtąd jest jeszcze bliżej do słońca. Sorrento wyciąga ku Capri rękę cyplu Massy, jak dziecko ku upragnionej zabawce. Ludzie z lądu płyną ku Capri z nadzieją, że stamtąd będzie lepiej widać słońce i morze. A tymczasem wyspa obrócona jest z tęsknotą ku lądowi, ku zatoce, choć to na północ. W istocie jest to bowiem wyspa smutna.

Możliwe że wszystkie wyspy są smutne. Ledwie statek odbije od Molo Beverello w bliskości Santa Lucia, już się zapala żal za powrotem na ląd. Brzegi i wyspy odpływają w mglistość i przestają być wyraźne, jak minione życie. Capri natomiast z bryły szafiru zmienia się w stalowy kadłub olbrzymiego okrętu, zakotwiczonygo na pełnym morzu, potem zielenieje, wreszcie otwiera wyraźnie oczy dwu miasteczek. Z bliska widać, jak na twarzy piękności, rumieńce, szminkę i zmarszczki wyspy. Przybiwszy do przystani Grande Marina, staje się w bezradności, jak łódka wobec burty okrętu: czy rzuci ktoś z góry linę lub pomost? Wyspa wyrzuca przybyszom linę kolejki (funicolare) i pomost drogi.

Capri jest jak dziewczyna — w pasie najsmuklejsza, ściśnięta krawką krętej drogi od dużej do małej przystani. Na wschód i zachód rosną jej wyniosłe wdzięki. Rozgrymaszona jest miłościami i miłostkami zalotników, którzy byli ulubieńcami samej historii. Trzeba odwagi, by ją pokochać. Pieścili się kochankowie jej imieniem i tak piękności zawrócili głowę, że sama już nie wie, skąd poszło jej nazwanie. W młodości nazywano ją kozą i historyk

Varro tłumaczy imię wyspy podobieństwem do kształtu kozy (capra) lub mnogością wypasających się tu kóz. Inny, widząc odpalony zalotnik mawiał o niej: dzikuska. To od greckiego wyrazu „kapros”, dzik. Pannica lubiała zawsze przechwalać się swym pochodzeniem z najpiękniejszego romansu i awantury historii, a więc wojny trojańskiej. Że oczarowała Odysseusza syrenim śpiewem, że Eneasza po drodze z Troi, nim założył Rzym, dał życie miasteczku Capri. Ale złośliwi twierdzą, że wyspa nie pochodzi wcale od ojca miecza, lecz od matki sakiewki, od kupczyków mianowicie feničkih, w których języku „kapraim” znaczy „dwa miasta”, czyli cały posąg Capri. Podstarzała wysepka rada dziś słucha nowych spieszczęń i mruży ślepkę, kiedy mówią o niej „kapryśna”, capricciosa. Mimo wszystko jednak Capri jest zadumana i smutna. Cóż że piękna, kiedy zawsze samotna, skoro każdy awanturnik może się pieścić jej ciałem, skoro nie stoi za nią ni brat ni swat, lecz kupczą ją obcy ludzie z dalekiego świata, a gdy ją ktoś nawet polubi, porzuca wnet dla innych romansów. Przechowuje więc najtkliwszą pamięć o najstalszym swym kochanku — cesarzu Tyberiuszu. Za jego to czasów Capri była tronem całego świata.

Capri jest wyspą syren. Opalały one swe zawsze białe ciała na szorstkich skałach i wysepkach Faraglionów i Monacone i przepływały czasem ku Vervece bliżej lądu. Świątynka ku czci ich pobudowana była w pobliżu Sorrento. Najulubieńszą jednakże plażą syren było miejsce nazwane dziś Anthemoessa obok Piccola Marina. Jest to łączka zielona, na której Odysseusz oprócz uroczej nagości dostrzegał białe kości ofiar syrenich i kwiecie.

Szaleniec, kto się zbliży i syren tych śpiewy
Usłysz! On nie ujrzy nigdy póki żywy
Ni małżonki, ni dziełek, ni ziemi rodzinnej:
Tak go zczaruje śpiew tych syren słodkopłynny,
Które siedzą na łące, a wkoło nich gnaty
Ludzkie leżą stosami i ciał wyschłych szmaty.

Przepadły gdzieś syreny, kości rzeczywiście połamane, a nawet pogryzione posprzątano z grot i skał pobliskich, wiatr

zdmuchnął śpiew „słodki jak plaster miodu” i obiecujący raj Odyssowi. Pozostało tylko kwiecie. Ku pamięci syren kwitną dalej na ich łączce cyklameny, narcyze, storczyki, żółte asfodele, mieczyki, orchidee, podobne ustom krzyczącym, hiacynty, fiołki fioletowe i białe, krokusy koloru bzu, nakrapiane żółto i purpurowo, zwane *Crocus Imperati*. Nie ma dnia w roku, by jakieś z tych kwiatów nie kwitły na swej wieczystej straży. Wśród nich uwija się żyjąca już tylko na Capri jaszczurka lazuruwa. Mewy czegoś tu często wypatrują niespokojnie.

Syreny są uosobieniem tęsknoty wyspiarskiej do ludzi ze świata płynących. Bo o świecie da się zapomnieć, kiedy można słońcu dać wybierać między białością lilii, narcyzów i ciał i kiedy barką można się puścić ku lądom. Ale nie jest tak zawsze na Capri. Są okresy, kiedy zimne wichry chwieją piniami i dębami, chmury ślizgają się po lustrze wód, śnieg buduje swe gniazda skalne jak jaskółki, a morze zazdrości skałom dalekich widoków. Wówczas na próżno mieszkańcy wyspy wypatrują słupka dymu od strony Neapolu. Wyspa wtedy traci wolność. Nagle jej skały, jej miasteczka, ogrody i wille stają się więzieniem, a chmury kratami. Żywot szczęścia mierzy się dniami, żywot tęsknoty latami. Więc też na Capri ludzie, choć pogodzeni z losem, nie są tak weseli, jak w Neapolu, a pieśni ich nabrzmiały są melancholią. Ulubiony instrument muzyczny, starorzymskie *putipù*, coś jak okaryna, kłuje serca tęsknotą pastuszej fujarki.

W czas zimowych zamieci mewy tulą się do skał Capri. Wyspa ta jest przeznaczona ptakom. Do niedawna było to jedyne miejsce w Italii, gdzie nie było wolno strzelać ptactwa. W dawnych wiekach cesarze przyjeżdżali tu polować na przepiórki. Do dziś niczego się przepiórki nie nauczyły, wpadając gęsto w sidła zastawione na łąkach. Jak te ptaki tulą się też do wyspy ludzie smutni i uskrzydleni. Tyberiusz osławiony został przez Rzymian, zwłaszcza przez Tacyta, z powodu swego dziwactwa i zgorzknienia. W owych napaściach i pomawianiach cesarza o okrucieństwo, orgie i rozpustę było na pewno wiele obrażonej dumy, że Roma

aeterna wzgardzona została dla jakiejś tam koziej wyspy. Ale stary Tyberiusz się zawział i przez jedenaście lat chadzał po perciach wyspy, śledził loty ptaków i patrzył, patrzył całymi godzinami w otchłań lazuru, ileż czystsza od ludzkiego oddechu. Może którejś nocy dojrzał betlejemską gwiazdę i wiedział, że Rzym jest już pisany na inną stolicę. Więc do końca życia pozostał w swej kapryjskiej samotni.

Tu także obrali sobie stolicę cisi i łagodni, lecz wiedzący o mocy zła pesymiści, wyznawcy potrójnego, smutnego jedynobóstwa, Mitry. Z grotu Matromania promieniowało światło Mitry i był czas, że mogło stać się panującą religią imperium.

Nigdy w historii Capri nie była tłem sielanki, choć jest nią w wyobraźni ludzi. Bo chociaż może osławiono postęпки Tyberiusza, ale na pewno w snach jego jawiła się często krew. W ruinach pałacu na Capri są mroczne podziemia i baseny, w których być może żarłoczne mureny czekały na straceńców. Legenda głosi, że cesarz strącał swoich skazańców w przepaść do morza z "Salto Tiberio", że ściany skalnej prawie trzechsetmetrowej, prostopadłego morskiego wiszaru.

Raz tylko, jeszcze przed Tyberiuszem, w liściach wiecznie zielonych dębów Capri zaszeleścił pomyślny wiatr. Kiedy oczy cesarza Augusta uśmiechnęły się do zielonych dębów i stalowych urwisk wyspy, kiedy głaszcząc czarne główki garnącej się do niego kapryjskiej dzieciarni, mówił do Wirgiliusza o uroku tej samotni i wymieniwszy z Neapolem Capri za większą i urodzajniejszą Ischię, kazał tu budować wille, nie mające sobie do dziś równych elegancją.

A potem już bez przerw hulały po Capri złe duchy historii. Pustacią widać była wyspa za cesarza Kommodusa, skoro tu z zemsty za niewierność zesłał swą żonę Kryspinę z jej siostrą Lucilłą. Potem szarpali wyspę, najeżdżali, palili, sprzedawali, wydzielali sobie, umacniali, burzyli Wandalowie, książęta Neapolu, opaci Montecassino, Saraceni. Cierpliwa wyspa zносиła nieskończone najazdy korsarzy saraceńskich, jak nawroty pór roku. I znów

przychodzili Longobardowie, Normanowie, kawalerowie sycylijscy, krwawi cesarze niemieccy, Aragończycy, Burbonowie, Hiszpanie, znów Sycylijczycy, znowu korsarze ze słynnym Barbarossą. Potem Capri musiała znosić na sobie szale zapasów napoleońsko-angielskich. Wyspa była kluczem neapolitańskiej zatoki i w tamtych czasach mogła zagrażać władcom Neapolu. Zatem Francuzi, nie skończywszy jeszcze dekoracji zdobytego Neapolu trójkolorami Francji, w pośpiechu wycelowali dzioby statków ku Capri. Anglicy zawsze chwyтали przeciwników w sieci takich Malt, Gibraltarów, Cyprów. Trzystu Anglików zaskoczyło francuską załogę Capri desantem, po czym umocnili wyspę, zwąc ją „małym Gibraltarem”, a gubernatorem został pułkownik Hudson Lowe. Zagrała krew w Napoleonidach. Wojska, dowodzone przez Joachima Murata, króla Neapolu, wypędziły Anglików z wyspy, lądując od jej najmniej strzeżonej strony, od fiordów Damecuty i Materity, w pobliżu Groty Lazurowej i szybkim marszem zajmując bezbronne Anacapri. Anglicy, jak to Anglicy, widać pewni siebie siedzieli przy winie i rybach po piękniejszej stronie Capri. Ale Napoleonidzi spojrzeli wtedy w twarz fatum swego wodza. Oto dowódca Anglików, Hudson Lowe, wzięty teraz do niewoli, był potem gubernatorem św. Heleny i dozorcą jej więźnia. Lądowanie na Capri wymienione jest wśród najświetniejszych bitew napoleońskich na paryskim Łuku Triumfalnym.

Gibkość w pasie przesądziła o losie Capri. Gdyby wyspa nie posiadała swego uroczego i urodzajnego, niskiego przesmyku, w którego środku usiadło miasteczko Capri i od którego wybiegły ścieżynki ku górom na wschód i na zachód, byłaby sobie jakąś taką Ischią czy Procidą, miłą owszem wyspą, a raczej dwiema wysepkami, pięknymi z natury, lecz zbyt dzikimi, aby mogły stawać do koncertów historii. Geniusz mieszkanców Capri i natchnionych nim przybyszów wytrasował ścieżki ku górom, między skalistymi przepaściami, obwarował je mostkami, arkadkami, galeriami, poniosł marmury i budulec na wysokie, połogie szczyty, wymyszkował groty, pokierował urodzajem przyrody i dotknął wszystkiego różdżką kultury.

Obie części wyspy są zbudowane z gór wapiennych. Gdyby kiedyś szukano miejsc dla gigantycznych inscenizacji literatury klasycznej, wschodnia część wyspy służyć by mogła za tło „Eneidy”, zachodnia za scenę „Georgik”. Monte Tiberio z ruinami Willi Jowisza, Arco Naturale, skałki Faraglionów i Monacone, ogrody Augusta, kąpielisko Tyberiusza, ruiny willi rzymskich, Kasztel del Castiglione z mozaikową posadzką, masywne fragmenty muru rzymskiego, „opus reticulatum”, pinie na drodze łączącej dwie przystanie, najściślejsza unia z morzem, wszystko to było kolebką mitów, aureolą cesarzy i pieszczotą patrycjuszów. A tamta strona, zachodnia, której patronuje św. Michał z maleńkiej kapliczki na przepaścistej skale i z kościółka w mieście Anacapri, to ziemia pasterzy, oraczy i rybaków. Choć pobudowano na niej w średniowieczu korsarski zamek Barbarossy na masywie Monte Solaro, a za nowocześnieści pseudoklasyczną z antycznymi fragmentami willę św. Michała (pomysł i własność Axela Munthe, obrońcy ptaków wyspy), przecież nie imponują jej ni ruiny ni wspomnienia antyku. Nawet Grota Lazurowa kryje się pod jej stopami. Miasteczko Capri jest arystokratyczne, Anacapri z przysiółkiem Caprile ludowe; przez Capri płynie fala przybyszów, a mieszkańcy miasta są różnych narodowości, Anacapri jest osiadłe. Capri posiada architekturę mieszaną rzymsko-normandzko-saraceńską z przewagą pierwiastków orientalnych, Anacapri jest włoskie. Tu też najmniej jest melancholii wyspiarskiej, a najwięcej pieśni i ludowych obrzędów. Capri dumne jest ze swego pogańskiego posagu. Anacapri błogosławią Madonny i święci. Santa Maria Cetrella (Madonna z Cytrą) na Monte Solaro, skąd widać najdalej drogi morskich rejsów ku Afryce i Gibraltarowi, opiekuje się żeglarzami, którzy składają jej wota, sporządzone własną ręką. W środku miasteczka stoi kościół św. Michała z majolikową posadzką, wyobrażającą raj pierwszych rodziców. Obok św. Zofia z Madonną o jasnych warokoczach i o bolesnej słodczy ust, patronka prawego szczęścia. Na stokach jest jeszcze grota Madonny i kapliczka św. Michała, wiążąca na samiutkiej grani nad morskim przestworem. Św. Michał

Archanioł zagroził tu drogę płomienistym mieczem pastuszkowi, który rozpaczliwie szukał w nocy swej zgubionej i jedynej owieczki. Zwabił go w ciemności brzęk dzwonka. Nie była to jednak owieczka, lecz głos dzwonka z drogocennego kruszcu, który święty zawiesił chłopcu na szyję. Dzwonek ten, św. Michała, jest jednym z najpiękniejszych okazów regionalnego artyzmu włoskiego ludu.

Wyspa Capri leży na morzu jak korona. W jej diadem nabite są szlachetne kamienie grot. Jest ich wiele, mniej lub więcej dostępnych: Lazurowa, Szmaragdowa, Rubinowa, Kryształowa, Marmurowa, Ciemna, Grota Świętych, Żeglarzy, Cudowna, Zbroi, Foki, Matki Karmicielki. Opływając wyspę dostrzega się nie tylko owe słynne już lub stojące u wrót sławy pieczary, ale i ciągle rzeźbione przez morze nowe. Dziś są to jeszcze miniaturowe czeluści, żartobliwie żłobione przez naturę w kształty zakapturzonego mnicha, butelki szampana z kipiącą pianą morską, dłoni, ucha, osobliwości panieńskiego ciała i innych poczwarnych jeszcze pomysłów.

Lazurowa Grota znana była jeszcze starożytnym, ale za czasów chrześcijańskich szatan, wypędzony z serc ludzkich, ukrył się w tej czeluści. Zanim weszła ona do baśni Andersena i snów wszystkich narodów, pokrywała ją gruba zasłona strachu. Dopiero romantycy, którzy szukali szatana po całym świecie, postanowili wziąć się z nim za rogi w kapryjskiej grocie. W roku 1826 mieszane towarzystwo pięknoduchów romantycznych, złożone z Francuza, Anglika, Duńczyka i dwu Niemców, a w którym rej wodził Niemczyk, poeta Kopisch z Wrocławia, zwiedzając Capri z właścicielem jedynej podówczas lokandy „Della Vittoria” (zwycięstwo jest jednym z najulubieńszych wyrazów ludzkiego języka) i który wygadał się o tajemniczej, diabelskiej grocie, wyprawiło się ku niej, podławszy przedtem odpowiednio samopoczucie. Odtąd Lazurową Grotę opuścił szatan, a sprowadzili się do niej ludzie, powiększając jej wdzięki zachwytnymi różnojęzycznymi poezjami. Wejście do groty jest tak małe, że trzeba, odczekawszy przyptyku fali, położyć się na łódce, aby się dostać do wnętrza. Właśnie dlatego grota jest lazurowa. Promienie słoneczne dostają się do jej wnętrza poprzez błę-

kit wody. Wewnątrz ludzie wydają się sobie srebrni. Pod poruszoną wodą pomykają tajemnicze cienie. Piękno Groty Lazurowej polega na jej nierzeczywistości i na ludzkiej słabości do barwy błękitu.

Obie strony wyspy mimo wszystkich różnic stroją się jednakowo tak zimą, jak latem, bo Capri ma tylko te dwie pory roku. Szata wyspy jest śródziemnomorska, lecz najbogatsza ze wszystkich, jakie są znane dokoła. Nic sobie nie robią drzewa, krzewy i kwiaty z dwoistości oblicza Capri, z wysokości gór i bliskości takich czy innych zabytków. Zbiegają na oślep po zboczach skalnych, chwytając się za ręce lianami, muskają powierzchnię morza, stawiają czoło wichrom, wysypują się gromadkami na łąki, zbijają w zielone wiecie, chadzają samopas na najwyższe szczyty. Na czele drzew stoi dąb o zawsze zielonych liściach, ilex starożytnych Rzymian. Przy nim pinia, jak wierna żona. I jak dzieci tych dwojga — drzewo chlebowe, cyprys, akacja; jak bukieciki przy sukni mimoza, brzoskwinia, cytrusy i migdał. Krzewy tworzą zwartą tkaninę wiecznie zieloną, której składniki utraciły swą indywidualność i noszą wspólne miano — plamy, po włosku *macchia*. Dostrzec wśród jej ściegów można oleandry, tamaryszki, rozmaryn, chrościeniec i żółte żarnowce. Wrzosa pełza po ziemi, a bluszcze na prześcigi z jaszczurkami po kamieniach. Klasyczny akant i mirt tarentyński widzieć można w ogrodach Augusta. Domy grodzone są płotami kaktusów i opuncji. Kwiaty te same, co zdobią łączkę syren koło Faraglionów, spotkać można w wielu zakątkach wyspy. Z trzydziestu gatunków orchidej pewne rosną już tylko na Capri. Nawet lotus ma tu swą zatoczkę. Mało też gdzie poza wyspą występują *Anthyllis Barba Iovis* o srebrnych liściach i kremowych kwiatach jak goździk, *Lilium Croceum* na Monte Solaro i *Convolvulus* z kitami srebrnych liści i białymi spadochronikami kwiatów. Oliwka i winograd, żywicielki Italii, spinają się ze swymi owocami po zboczach jak juczne zwierzęta.

Miasteczko Capri wygląda tak, jakby było skopiowane z obrazków do bajek dziecinnych. Takie pałace zamieszkiwała na pewno królewna Śnieżka. Tu także chyba przeżywało swe przygody dzie-

cię Italii, Pinocchio, co znaczy po polsku „ziarnko z szyszki sosnowej”. Ten heros włoskich dzieci znalazł na Capri miniaturę świata i wszystkie scenki dla swej odyssey. Starsi ludzie nie lubią słuchać bajek, ale lubią je przeżywać, dlatego tak chętnie odwiedzają Capri.

Miasteczko czyni wrażenie, jakby je wymodelowała jedna ręka. Tymczasem jest to dzieło różnych czasów, stylów i ludzi. Miasta Italii są żółte, jak barwa żółtych kotów. Capri jest białe jak kwitnące wiśnie. Tak malowane miasteczka i tak budowane domy widuje się we wszystkich krajach arabskich. To jest właśnie ślad wpływów saraceńskich. Domki, zwłaszcza leżące poza miasteczkiem właściwym, ulepione są z tufy wulkanicznej, o dachach płaskich lub wielobaniastych. Sercem domu jest cortile — podwórkko, otoczone krużgankiem. Większość domków posiada altankę, oplecioną winogradem, a od uliczek zasłaniają je ogrody pomarańcz, cytryn, brzoskwiń, fig, migdałów i róż. Bardziej dostojne domostwa szczytują się piniami. Płoty grodzą nieprzeniknione mury kaktusów. Są też na Capri skopiowane z Pompei i podniesione z własnych ruin wille starorzymskie z całym klasycznym rozplanowaniem na atrium, tablinium, triclinium, viridarium i lararium, z marmurowymi posadzkami, kolumnienkami, studzienkami, mozaikami przed progiem i nawet z ołtarzykami bóstw. Spotyka się też wzory rycerskiej normañszczyzny: tajemnicze krużganki, portyki, sklepienia, rozety i luki.

Capri stoi na fundamentach fenickich, widocznych do dziś w postaci muru megalitycznego pod głównymi budowlami miasteczka. Szczątki ze wspaniałych rzymskich świątyń dwunastu bóstw z Monte Tiberio, marmury i kolumny służą dziś św. Stefanowi w kościółku, stanowiącym serce dzisiejszego Capri. Rytm jego wybija majolikowy zegar na wieży. Plac Umberta I usiłuje naśladować powagę wielkich miast i ich magistratów. Wymykają mu się jednak spod uwagi, jak zbyt żywe dzieci, pędzące w najmniej oczekiwane strony, uliczki, pasażyki i mnóstwo jakichś dziwacznych ni to placyków ni portyków ni podcieni ni tunelów. Kręcą się i wiercą te smyki po zaułkach, wylatują na górki, nurkują w podziemia, za-

glądają w podwórka, cisną na czworakach pod jakieś łuki i w piwnice, hałasują po balustradach ganeczków, pokładają na tarasach, skaczą na jednej nodze po miniaturowych schodkach. Uliczki Capri są jak dłonie, złożone do klaskania i już mające się zawrzeć, gdy tylko znikną z nich przechodnie. Można chodzić po zaułkach miasteczka godzinami i śmiać się do nich, jak do żywych istot, tak są piękne, tak rozigrane, tak pomysłowe i wesołe. Cała radość Capri skupiła się w tych uliczkach.

Gdyby Capri zamknąć w futerał i potem nagle otworzyć, najpierw wysypałyby się sznurki koralu. Zatoka neapolitańska posiada niezliczone rafy koralowe. Torre del Greco na wybrzeżu jest ośrodkiem przemysłowej ich obróbki, skąd wędrują do całej Europy. Korale czerwone, różowe i białe w dziesiątki wzorów, perły, kamee, dzwoneczki św. Michała, muszelki, mozaiki, szkiełka, figurki, widoczki, rysunki, tkaniny, hafty, cudeńka ceramiczne można przebierać na Capri pełnymi garściami.

Capri jest bogatą wyspą. Mając do wyżywienia tylko 7 tysięcy swoich żołądków, ma dość zapasów mięsa jagniąt i owiec, nabiału, oliwy, owoców, a zwłaszcza ryb i idealnego do nich wina oraz langust. Langusta jest bogactwem Capri. Łowią ją rybacy na przynętę w koszu drucianym, zastawionym na głębokości 25 metrów, skąd już langusta nie może się wydostać. Jest to największy dar zatoki.

W słynnym, wielokroć burzonym klasztorze Kartuzów (Certosa), a dziś szkole, odkryto niedawno wielki fresk, wyobrażający Sobieskiego, gromiącego Turków pod Wiedniem. Król polski przedstawiony jest z aureolą świętego. Tak to Capri pomnożyła liczbę świętych o św. Jana Sobieskiego. Kiedyś istniało na Capri muzeum „Quo Vadis”, urządzone i wypełnione ilustracjami do „Quo vadis” Jana Styki, wydanymi też w osobnym album w Neapolu. Dziś willa Styków i obrazy są na sprzedaż, a Kapryjczycy z trudem potrafią wskazać dawne muzeum. Na Capri czuli się dobrze Polacy o duszach zadumanych i refleksyjnych: Józef Conrad Korzeniowski, Maria Curie Skłodowska, Stefan Żeromski, czciciel morza, „otchła-

ni niezmiernej, która nigdy się nie zmieni, wiecznej jak powietrze i słońce" („Dziennik podróży”).

Smutek chodzi po ścieżkach i skałach Capri. Z Monte Tiberio widać dzieła wszystkich dni stworzenia. Trudno nie pomyśleć, że umierając chciałoby się mieć pod powiekami to morze błękitne z maleńkimi piankami wysp, wyniesionych z morskiej otchłani dla ludzkiego szczęścia.

Żonie, wtedy nieobecnej.

M O N T E C A S S I N O

Rzym około roku 500 nie ułatwiał świętemu Benedyktowi komunii z Bogiem. Wielki Umbryjczyk wybrał się na poszukiwanie ołtarza ziemskiego, przy którym klękawszy, można by najspokojniej z Bogiem rozmawiać. Subiaco wydawało mu się za blisko Rzymu, więc wymościł sobie grotę w pobliżu Willi Nerona opodal dzisiejszego Anzio, gdzie dzicy pasterze z Kampanii schodzili się słuchać słowa Bożego. Wokół powstawały klasztory, aż liczba ich wzrosła do dwunastu z dwunastu mnichami w każdym — na pamiątkę liczby apostołów. Ale i tu rychło dosięgła świętego ludzka nienawiść.

Wziął więc kij i sakwę podróżną i powędrował przed siebie, może przez błota pontyńskie drogą Appijską, a może, wróciwszy do Rzymu, starą, lecz niewygodną drogą wśród dzikich pustkowi, nazywaną różnie: Via Latina, Romana albo, jak i dziś, Casilina. Podanie głosi, że dwaj aniołowie poprzedzali świętego i wskazali mu wzgórze Cassinum, jako Bogu miłe.

Że Bóg często zatrzymywał swój wzrok na tych wzgórzach Apenin Abruzzyjskich, przeciętych rozległą doliną rzek Liri i Rapido, świadczy także Aquinum, z którego wyszedł największy na ziemi tłumacz Boga na rozum ludzki.

Pan Bóg widział Cassinum po swojemu, a ludzie po swojemu. Ludzie szeptali sobie od wieków, że kto jest panem wzgórza Cassinum, ten jest też panem Rzymu. Pamięć ludzka utraciła imię tych władców Cassinum i Rzymu, którzy budowali nad rzeką Rapido mury cyklopowe, trwalsze od pamięci historycznej ludzi. Rzymianie w roku 312 przed Chrystusem zmusili miasto-twierdzę Cassi-

num do uznania latyńskiej wspólnoty. Na dwadzieścia trzy stulecia śmiało więc liczyć można wiek Cassina. Hannibal, jak przekazuje Plutarch, szukał z Kapuy dróg do Cassinum, niespokojny, by go Rzymianie nie ubiegli w zajęciu tej pozycji. Ale najeźdźcom nie służą nigdy długo najbardziej nawet kluczowe pozycje. Cassino zakwitło jako kwiat kultury łacińskiej. Amfiteatr rzymski i Colosseum pokazywano tu aż do ostatniej wojny jako największe osobliwości historyczne, doskonale zachowane. Kościół św. Krzyża (Chiesa del Crocefisso) był to też stary grobowiec latyński.

Od chwili przybycia św. Benedykta do lasku poświęconego Jowiszowi i Febusowi na wzgórzu ponad miastem Cassinum, miejsce to stało się areną zmagania się Bożej i ludzkiej woli. Święty zrobił najpierw porządek z plugastwem pogańskim: powycinał święte drzewa. Potem, uprzątnąwszy stojącą tu od dawna i zapuszczoną wieżę, ochrzcił ją w Imię Ojca i Syna i Ducha świętego imieniem św. Jana Chrzciciela. Wypatrzywszy sobie źródła wody i lichej strawy, zasiadł w owej wieży do pisania swej reguły, która stała się jednym z fundamentów chrześcijańskiego pojmowania życia. W tym czasie braciszkanie stawiali pierwsze mury słynnego później na cały świat opactwa.

Język polski chcąc określić trud ponad miarę nazywa go „benedyktyńskim”. Począł się on w Polsce w wieku XI, kiedy bracia benedyktyni z Monte Cassino przybyli na Święty Krzyż i do Tyńca, by uczyć nowej naówczas prawdy: „módl się i pracuj!”. Właśnie w r. 1947 mija 1400 lat od śmierci św. Benedykta. Opaci i biskupi w imieniu 120 opactw benedyktyńskich, rozsianych po całym świecie, wręczyli Ojcu świętemu petycję o ogłoszenie wielkiego patriarchy patronem Europy. „Nawet w dni, kiedy armie sprzymierzone maszerować będą przez Rzym i Berlin, nie zobaczą niczego o większym znaczeniu w całej historii ludzkości, jak te ruiny na wzgórzach obok Szóstej Drogi” — pisał po wzięciu Cassina korespondent brytyjski. Uważa się powszechnie Monte Cassino za kolebkę europejskiej cywilizacji i kultury. Kiedy w roku 1868 groziło opactwu zajęcie przez rząd piemoncki, premier rządu Wielkiej Brytanii, Gladstone, ostrzegł Włochów, że poczytane to będzie za pot-

warz dla całej Europy. Tak potężny był wpływ duchowości benedyktyńskiej na umysłowość europejską. Całe dziedzictwo kultury antycznej, rozwiniętej potem w kulturę zachodniochrześcijańską, właśnie w opactwach benedyktyńskich zostało przechowane i uratowane od zagłady w burzliwym okresie wędrówek ludów aż do czasów średniowiecznych. Monte Cassino było arką przymierza pomiędzy zachodzącym Rzymem cesarów i wschodzącym imperium Kościoła. Tu opraciano starożytne foliały w pergaminy, znaczone krzyżem świętym i niejedną starą prawdę ciosano w nowe kształty. Św. Benedykt nie tylko dał ludziom pierwszą regułę zakonną i przekazał mądrość starożytnych, ale sformułował nowoczesne ideały cywilizowanego życia, zrozumiałe, dostępne wszystkim, łagodne, ludzkie. Boga apostołował miłością, a nie strachem, mroki rozświeślał nauką, pracę nobilitował jako przykazanie Boże, a prawo jako objawienie. Półdżicy pasterze chwyтали za lemiesz, a w niedziele padali na kolana w kościołach przed nowym, najlepszym ze wszystkich, Bogiem.

Opactwo nagromadziło w ciągu wieków cenne skarby. Legenda klasztorna głosiła z dumą, że wieża, w której św. Benedykt pisał swą regułę, pochodzenia antycznego, zachowała się do ostatnich dni opactwa. Bez wątplenia zachowały się ślady pracy pierwszych braci z VI stulecia. Wspaniały jednakże klasztor, znany nowoczesnemu światu, był dziełem wieków XVI, XVII i XVIII, a nade wszystko Bramantego, twórcy dziedzińca, krużganków i większości pomników. Nieważne już dziś, jakie rzeźby, mozaiki i freski zdobiły refektarze, kaplice, grobowce, komnaty i dziedzińce. I że klasztor posiadał wielką szkołę, stacje naukowe i obserwatorium astronomiczne. Szczęściem biblioteka, złożona z 80 tysięcy tomów i 40 tysięcy rękopisów, wśród nich Dantego, oraz zbiór 800 dokumentów królewskich, cesarskich i bull papieskich znalazły wcześniej schronienie w archiwach watykańskich. Opactwo Monte Cassino, od roku 1321 także biskupstwo, doszło do takiej potęgi, że stanowiło okresami rodzaj samodzielnego państwa nad rozległym terytorium. Opaci zasiadali na stolicy Piotrowej.

Opactwu na Monte Cassino zawdzięczają powstanie miasto

Cassino i zamek Rocca Janula. Starorzymskie miasto Cassinum przestało istnieć w V wieku po najazdach Gotów i Wandalów, a w średniowieczu opaci pobudowali tu San Germano. Jakieś germańskie fatum chodzi za Cassinem. Bo choć miasto opackie wróciło w r. 1863 do swej historycznej nazwy Cassino, San Germano przyklepiło się do sąsiedniej, niedużej gminy Piedimonte, czyli stopy góry Cairo i noszącej pełną nazwę Piedimonte San Germano. Iglica skałna, jak palec wyciągnięty nad drogą do Kapuy, nazwana w czasie ostatniej wojny „wzgórzem kata”, nosiła kiedyś na swych barkach zamek, mający zbrojnie osłaniać opactwo. Ulegał on burzeniu wielokroć częściej, niż sam klasztor, któremu nieraz zegar historii wybijał czarne godziny. Wszystkie wszakże katastrofy Monte Cassino, pożary i trzęsienia ziemi obramowane są najazdami Germanów w latach 581-589 i Niemców w 1943-1944. Szyszak błyszczący ze strusimi czuby był straszniejszy od moru nie tylko dla Litwy. Zamek na Rocca Janula był solą w oku cesarzy niemieckich. Chcąc trzymać w szachu papieski bastion opactwa, Hohenstaufowie osadzali na zamku Sycylijczyków; co trwało aż do XV wieku. Fryderyk II uważał zamek za klucz państwa sycylijskiego. Różne wojska grabiły klasztor; burzyły go do szczytu tylko niemieckie.

Kiedy w dniu 15 marca 1944 samoloty sprzymierzonych bombardowały obsadzone przez Niemców opactwo, straszliwy patos zagłady przypomniawszy korespondentowi brytyjskiemu 1 września 1939 nad Warszawą. Tam trzeba szukać prologu i sprawców krwawych lat 1939-1945. Boża wola włożyła w ręce Polaków miecz sprawiedliwości, który spędził burzycieli Warszawy i świata z ruin Monte Cassino. Trzykrotnie tu chwytała Polacy zgubioną nie wolności: gdy generał Dąbrowski strzegł tej ziemi, gdy w r. 1918 organizowała się armia polska z jeńców austriackich w koszarach Villa u stóp Monte Cassino i gdy Nike polska krwawiła złamanym skrzydłem na gruzach opactwa w maju 1944 i nad grobami siedmiu narodów.

Kiedy czerwone od bezsenności i śmiertelnego znużenia oczy żołnierzy polskich wypatrywały po zejściu z pozycji miejsca dla odpoczynku wśród zakurzonych oliwek, gdzieś tam za rozbitym

miasteczkiem z rowu wyglądał szczyt obalonego krzyża i litery INRI. Boża męka nie opuszcza naszej historii. W dzień Matki Boskiej Dobrej Rady w ścieżki mułowe, wspinające się ku jarom i wzgórzom zastaniającym północ klasztorowi Monte Cassino, wsiąkły pierwsze krople potu żołnierzy polskich, a w dniu Wniebowstąpienia Pańskiego w gruz opanowanego już wzgórza klasztornego spłynęły ostatnie krople krwi tych żołnierzy. Między tymi dwoma świętami, między dwiema modlitwami zamyka się akt dziejów narodu, walczącego o miejsce pod słońcem i pokazującego krwią źródła swej kultury.

Kraj dokoła Monte Cassino jest oliwkowy. Nieprzeliczone te szare, zakurzone drzewka rozsypane są po wzgórzach jak żołnierze. Żołnierską też śmiercią poginęły oliwki pod Monte Cassino.

Klasztor Monte Cassino świeci nad Szóstą Drogą jak Jasna Góra. Nie leży przy niej nic dostojniejszego. Od Neapolu aż po Venafro, błyszczące wieżami, droga miga równiną. Za Venafro nurkuje w morzu oliwek. Nagle wyrosłe wzgórza tworzą kurtynę sceny wojennej. Trzeciorzędne dróżki przez San Vittore i Cervaro i nawet trakty mułowe, wijące się dokoła gór, z rozprutymi wnętrznościami, sypiącymi się gęstym prochem, pogruchotane wioski, ściany domków samotnych, nawet kapliczki i krzyże przydrożne odgrywały wielkie role na scenie bitwy o Cassino.

Prosto na południe od opactwa rzeka Liri, płynąc dotąd w głębokich wężownicach na wschód, jakby skierowana wyższą siłą, nagle odwraca się na południe, uderzona wartkim dopływem Rapido (Bystrej) z północy. Odtąd już szerokie jej rozlewisko nosi nazwę Garigliano. Masyw gór wokół Monte Cassino oplata błękitno-zielona wstęga dwu tych rzek. Rapido toczy się z gęszcza skalistych olbrzymów, nad którymi króluje Monte Cairo. Jest ich tyle, do siebie podobnych, iż większość nie posiada własnych imion, lecz oznaczona jest magiczną trójką cyfr. Jedna z tych trójek — 593 — na wprost klasztoru jest już własnością historii Polski. U jej podnóża zastygło w honorze śmierci tysiąc siedemdziesiąt sześć grobów polskich, nakrytych kamiennym orlęm.

W dole leżą przesypane wielokrotnie łopatą śmierci gruzy miasta. Drzewa na olbrzymiej przestrzeni na wzgórzach i w dolinie rzek są martwe. Rzeki, ranne pociskami, zieją ropą podskórnych wylewów. Liri w śmiertelnym strachu zgubiła swe koryto. Napisy na gruzach, jak w muzeum, wskazują, gdzie było starorzyskie Colosseum i amfiteatr, którym się nie udało przetrwać XX wieku po Chrystusie, gdzie Chiesa del Crocefisso, gdzie Hotel pod Różami i Continental, siedmiokrotnie wyrywany z rąk do rąk. Życie jednak podnosi i to miasto i sposobi je na nowe najazdy.

Piedimonte San Germano zmieniła wojną w kopiec gruzów. W środku byłego miasteczka ocalała tabliczka z nazwą ulicy „Buoncuore” — „Dobrego Serca”, a z kościoła — nietknięta figura Niepokalanego Serca Najświętszej Marii Panny, czczonej w całej diecezji Aquino. Serce to wołało do siebie w modlitwie królów i wygnańców. To serce ocalało.

M I Ł O Ś Ć Ż E G L A R Z Y

Ankona stoi sama dla siebie. Nie wybiega na żadną drogę, jak oblubienica z kagankiem oliwnym w oczekiwaniu na łaski miłosne, nie stroi się w wabiące klejnoty, nie przyzywa obietnicami syren. Grecy, którzy do niej przyszli od morza, na jej Górze Doryckiej postawili tron Miłości Żeglarzy, czczonej też, później przez Rzymian, Wenus Euplei, aby się jej kłaniali wszyscy przybysze, którzy zaznali łaski morza. Ankona nie schodziła nigdy ze swego potrójnego Olimpu: Monte Astagno, Monte Cardeto i Monte Cuasco. Była od czasów, kiedy bogowie byli jeszcze dziećmi, panią udzielną. Kto chciał, musiał piąć się ku niej, zbaczając ze swej drogi. Obwarowała się od lądu cytadelą na Monte Astagno. W głąb labiryntu Ankony wiodą łaskawie tylko trzy uliczki, zaparte szafcowanymi bramami: Porta S. Stefano, Porta Ripulsa i Porta Pia.

Ankona nie lubi ludzi z lądu. Zakochała się bez pamięci w morzu. Grecy widzieli z Adriatyku jej białe ramię ze złotym klejnotem świątyni, pieścące się lazurem. Nadali jej tedy nazwę — od ramienia. Od lądu, od drogi nadmorskiej ku Palombinie i Falconarze, Ankona przedstawia się jak olbrzymi jaszczur, chlepcący wodę morską. Ale tylko zazdrość może tak zniekształcać urodę. O urodę pyta Ankona zwierciadła morza. To wtedy, gdy u stóp Monte Gallino morze tuli się cichutko i szepcze do Ankony zefirkami toni. Czasem przekłada coś wymownie białymi bryzami. Czasem płacze. Czasem zazdrosne o ludzi z lądu szaleje siniejąc ze złości. Ale najczęściej flirtuje, zastaniając się wtedy mgłą.

Z wysokich łóż Ankony patrzeć można na Adriatyk jak na teatr. Widowisko trwa nieustannie, jak w czasie świąt dionizyjskich

w greckim teatrze. Tyle że program zmienia się raz po raz. Ze wszystkich widowisk natury morze jest chyba najbogatsze. Jest teatrem starym i nieśmiertelnym jak grecka tragedia. Gdyby ktoś chciał wiedzieć, jak wyglądał świat klasyczny, niech spojrzysz na morze. Jest snem nocy letniej i obrazem batalistycznym. Gdzieś tam właśnie błyskają refleksy tajemniczych spraw na dalmatyńskim wybrzeżu. Jest igraszką pobrzeżnych rybaltów i dramatem zagubionych rybaków. Jest rapsodem Bożym.

Na najwyższym cyplu Ankony stoi katedra pod wezwaniem: na relikwiach patrona miasta, św. Cyriaka, w stylu romańskim, wzniesiona z fundamentów i ruin świątyni Wenus Żeglarzy. Mała, stylowa, misterna, antyczna, morska. Czuwa jak matka nad portem i odrywającymi się ku widnokręgom smugami łodzi i statków. Żegna i liczy wracających. Wszystkich dostrzega jej czujne oko. Zasłaniała piersią swą miasto przed pociskami armat austriackich w tamtej wojnie, nie upadła śmiertelnie ranna bombami w tej wojnie. Wyrastają już nowe jej pędy z tej ziemi, na której nie umiera piękno.

Historia przychodziła do Ankony w szumnych pióropuszcach. Upodobał sobie miasto także „ów mąż, bóg wojny”. Szachowały je w ciągu wieków wieże oblężnicze, konie walecznych kawalerii, królowie, królowe i damy (Charlotta Brunświcka, Lady Hamilton, matka i siostra Napoleona), hetmani i giermkowie. Wichry morskie zdmuchnęły z jej murów dymy ognisk Liburnów, Franków, Sikulów, Gallów, Pelasgów, Greków, Rzymian, Gotów, Saracenów, Normanów, Niemców, Gwelfów, Gibelinów, papieży, cesarzy, egzarchów, książąt, tyranów, uzurpatorów, Wenecjan, Turków, Francuzów, Austriaków, Rosjan, Anglików, Polaków. Walily się zamki, gruz sypał się z murów, darń pokrywała siedziby, ogień hulał, brat miecza. Aż przyszła wojna ostatnia, zakończona dla miasta w chwili, gdy wiatr od morza dmuchnął w strugę białoczerwoną, spływającą wodospadem po murach cytadeli. Polak rozkazy dzienne pisał z cytadeli.

Wycinek szosy adriatyckiej, pomykającej u stóp Ankony, na przestrzeni od placu Ugo Bassi po dworzec kolejowy, w chwili

wkroczenia oddziałów polskich przedstawiał monotonne rumowisko, które nazwano ulicą Warszawską. Przez żadną z trzech bram nie było wówczas wejścia do miasta. Zatrzaśnięte były jakby ostatnim przed omdleniem gestem śmiertelnie rannej i bezsilnej Ankony. A były czasy, kiedy miasto mogło się z łatwością bronić najmocniejszym armiom. Wzięło naukę od morza, że najsroźsze nawałnice odpływają, byle tylko wytrwać. Odplynęli Goci, zatrzymali się u bram Ankony Normanowie, gryził palce wściekły z bezsilności Barbarossa, nie mogąc ugryźć twierdzy, wygrażał jej pięścią z daleka Malatesta, tłukły głowami o jej mury sprzymierzone wojska austriackie, rosyjskie i tureckie w r. 1799. Jak Kraków swą Wandę, tak Ankona miała Stamurę, której plac i ulica należą do największych w mieście. Młoda wdowa nie chciała Niemca, Barbarossy i rzuciła się z płonąca pochodnią na główną wieżę oblężniczą wojsk cesarskich.

Od cytadeli aż po Lisią Skalę (Scoglio della Volpe) i od portu aż po plac Cavour naniósł pracowita wojna ogromny stos gruzów, jak mrowczy kopiec. Były to kiedyś pałace i domy, kościoły i składy, mury i drzewa, pomniki i rudery. Na tej ankońskiej kalwarii, której szczytem jest katedra, ocalały tylko, jakby stacje męki miasta — o dziwo — najbardziej starożytne monumenty. Więc stoją wśród nowożytnych ruin starożytne budowle: łuk Trajana, postawiony w 115 roku po Chrystusie cesarzowi rzymskiemu, który unowocześnił port ankoński (na konserwację tego łuku każdy statek, zawijający do portu, musiał składać datek), romański kościółek Santa Maria della Piazza, wykończony w roku 1210, gotycko-wenecka Loggia dei Mercanti z XV stulecia, gotycki, renesansowy i barokowy zarazem Palazzo del Governo, który jako jedyny w mieście uniknął zdjęcia herbu w czasie wykonywania idei francuskiej rewolucji, gdyż konnego krzyżowca z liliami uznano za pochodzenia demokratycznego, pałace miejskich patrycjuszów — Ferrettiego z XVI wieku, Tronfi, gdzie zatrzymywali się Napoleon, Murat i Karol Emanuel Sabaudzki, Mancinforte, gdzie kwaterował Nelson w czasie operacji śródziemnomorskich, barokowa Porta Pia, zbudowana przez Piusa VI w 1789. Te i inne

stare budowle przeważnie przetrwały. Niektóre wtopiły się w kurhan wojenny. Na szczycie stoi okaleczona, rozbita, z wydartymi skarbami, lecz niepowalona doszczętnie katedra. Jako świątynia chrześcijańska poczęła się w IV wieku, lecz w dzisiejszej postaci jest pomnikiem wieku XIII.

Ze szczytu katedralnego aż po główną ulicę Corso Wiktora Emanuela (dziś już Corso del Popolo) spada lawina zburzonego miasta, powódź ruin kaskada gruzów. Tylko zabytkowy plac Plebiscytu stanowi wyspę. W jego prostokącie mieszka dziś dostojeństwo starej Ankony, największego portu Adriatyku między Bari a Wenecją, który może najbardziej zachował klasyczny styl śródziemnomorski.

W ulicach — przesmykach zagradzają tu drogę przechodniom ni stąd ni zowąd jakieś tarasy i arkady, stają wpoprzek fontanny, oczy porywają łuki, kolumny i attyki, za rękę wodzą jakieś schodki tam i sam biegnące. Wino z Cupry i rybne cudactwa z Adriatyku wyklada się tu na starych marmurach, wagi i fiaski wiesza na kolumnach. Renesansowe studnie wypchane są tanią jarzyną. Od stosów ślimaków i pomiotu rybnego niesie się niezapomniany aromat morskich miast i miasteczek, których życie ogniskuje się wokół pescherii.

Nowoczesność w Ankonie utworzyła secesję. Wyrwała się z ciasnych i mrocznych uliczek, woni ryb, jarzyn i prostego wina i pobiegła sobie w cieniu platanów śliczną, prostą, długą Aleją Zwycięstwa (Viale della Vittoria), pośród okazałych nowoczesnych gmachów państwowych i prywatnych, ku morzu. I tak po jednej stronie miasta czuwa nad morzem stara matka żeglarzy — katedra, a tu po drugiej wdzięczy się wiatrom i błękitom młódka, pokazując na wszystkie strony pierścień placu 4 Listopada z drogo-cennym kamieniem pomnika poległych. Wzorki kamienia w postaci różg liktorskich dziwnie ocalały, tak jak ocalała miłość dla poległych. Takie to już przeznaczenie historii, że to, co za życia jest nienawistne i czemu się życzy śmierci, z czasem staje się dumą i przykładem. Broniła się kiedyś Ankona Rzymianom, a potem

stawiała rzymskim cesarzom pomniki. Cezar umacniał ją, by móc śmiało przekroczyć niedaleki stąd Rubikon. Nienawidziła Ankona Francuzów i rewolucji, gdy dwudziestoletni generał Bonaparte zakładał Republikę Ankoneńską, dyktował pokój w pobliskim Tolentino i gdy jego żołnierze zrywali herby na pałacach miasta i sadzili drzewo wolności, a potem w Ankonie wybuchło powstanie w imię trzech przykazań rewolucji. Nienawidziła Ankona Niemców, nienawidziła Anglików. Włosi umieją nienawidzić i umieją wybaczać. Może tylko Polaków witano tu zawsze wzruszaniem ramion, lecz bez zaciskania zębów. Raz za Dąbrowskiego, raz jako żołnierzy oddziału papieskiego, który piemoncki generał Cialdini pobił pod Castelfidardo, wkraczając potem w imieniu króla Italii do Ankony i raz po zwycięstwach z Korpusu pod Castelfidardo, Osimo i na przedpolach Ankony. Wydeptane są ścieżki historii.

Jesienią Viale della Vittoria zasypana jest liśćmi. Morze wtedy biczuje ziemię deszczem, a liście wirują bezradne, pozbawione roli i celu życia. Przy końcu długiej alei za liśćmi i za deszczem jest pomnik poległych. Na nim się kończą wszystkie dzieje i wszystkie żywoty bez dziejów.

S E R E N I S S I M A

Italia ma naturę wspaniałej urody. Italia ma wspaniałą sztukę. Ale geniusz łatyńskiej rasy umiał najwspaniałej naturę poddać sztuce, naturę skojarzyć ze sztuką, z natury uczynić dzieła sztuki. Rodzaje sztuki zależą od jej tworzywa. Sztuka natury w Italii formuje się z różnorodnych postaci przyrody. Capri jest tworem morza i natchnienia ludzkiego, Neapol synem skłonu skał ku morzu i orłów ludzkich, San Remo owocem laguny i myśli ludzkiej. Como płodem jeziora i człowieka rówieśnego Pliniuszom, San Marino dzieckiem skały i natchnionego człowieka. Samotna skała San Marino — Monte Titano, wystrzelająca z ziemi jako ostatnia nad morską granicą i najpotężniejsza skała miocénskich gór romańskich, jakby wychylona głowa śródłądzia, spozierająca poprzez Adriatyk ku siniejącym w pogodne dni wyspom Dalmacji, była także taką urodziwą córką ziemi, ku której pochyliła się miłośnie myśl ludzka, by wskrzesić z niej dzieło sztuki.

Dla dzieci wymyślają rodzice pieśczołliwe imiona, koło ich żywota snują rodzinne bajeczki i historie, tworząc poezję żywobycia. Tak i dokoła tworców przyrody i ludzi powstały historie i baśnie, dla każdego z nich inne, własne, samoswoje. San Marino otrzymało nimb niepodległości, aureolę najstarszego i najmniejszego państwa na ziemskim globie, dumnie wolnej republiki, unoczącej się jak arka Noego ponad wszystkimi potopami dziejów. Bo dzieje są natchnieniem każdego żywota.

Dzieje można traktować jako inwentarz wydarzeń, liczydło lat tłustych i chudych, jako naukę, jako poezję. Trudno wątpić, że historia po to skrzydłami swymi ocierała się o Monte Titano aby dać ludziom poezję. Zatem San Marino jest poematem histo-

rii. Siedemnaście wieków bez wątpienia musi tworzyć epos. Inwokacje eposów bywają z reguły patetyczne. Ale i przed początkiem eposu zawsze coś było. Więc oczywiście była samotna skała Monte Titano, na której potrójnych szczytach, jak w gniazdach orlich, chronili się ludzie niepodlegli. Od niepamiętnych czasów rodzili się na świecie ludzie — odludki, ludzie, którym dobrze było samym, ludzie, których najwyższym szczęściem była wolność, wolność upajająca, cisza i bliskość błękitu. Tacy łączyli się w dziwnych gminie Titano, wolnej zapewne od praw i wolnej od bezprawia.

Pod koniec III wieku po Chrystusie opuściło Dalmację w ucieczce przed prześladowaniem, dwóch chrześcijańskich apostołów i późniejszych świętych, Marino i Leon, rodzonych Dalmatyńców. Dzioby ich łodzi uderzyły o piasek pobraża Rimini, a oczy skierowały się ku skałce Titano, gdzie przybyli w roku 301. Skoro stali się świętymi, więc jasne, że żyli w bojaźni Bożej. Wyższą nad bojaźń jest chwala, więc budowali z pilnością domy Boże w Rimini i zawędrowali na górę Titano, która przedstawiała im się jak ołtarz ziemi dla Boga, jak Tabor, jak łuk tęczy, wygiętej ku niebiosom. Była to wtedy dzika, zamieszkała jeno przez ptaki niebieskie skała. Obaj apostołowie ze skrzętną gorliwością pobudowali dwie niewielkie świątynki, wielokroć potem w ciągu wieków odnawiane, z których pierwszej postaci pozostały do dziś pewne fragmenty. Zachowała się skała z wykutymi dwiema niszami, gdzie sypiali święci pod pokryciem nieba i skąd mogli widzieć w pogodne poranki mająk ziemi ojczystej. Może to właśnie tęsknota za utraconą ojczyzną pognała apostołów na tę górę olbrzymią? I tak w pracy i chwale Bożej poczęły się dzieje późniejszej republiki, założonej, błogosławionej i nazwanej od dalmackiego apostoła — San Marino. W pałacu rządowym republiki znajduje się obraz Guercina, na którym święty Marino dzierży w ręku i błogosławi potrójną górę Titano.

Fantazja ludzka mocniejsza jest niż pamięć. Więc opowiadają o najdawniejszych dziejach San Marino baśnie krwawe i

tudujące, wymyślne i pospolite, rycerskie, rolne i mieszczańskie. Przez półwysep apeniński gnały hordy najeźdźców, oręż barbarzyński stukał w bramy Rzymu, łuny świeciły nad modrym widnokregiem. San Marina nie ważył się nawiedzić żaden barbarzyńca. Pewnie tedy miało już wówczas mocne mury obronne i ostre miecze.

W średnich wiekach wojaczka była ulubionym ludzkim zajęciem. Panowie na zamkach i włościach składali sobie wizyty najchętniej zbrojnie, a pokój gwałcili najczęściej z Bożym imieniem na ustach. Egzarchowie raweńscy uszanowali wolność San Marina, ale biskupi Montefeltro zawistnym okiem spoglądali na to dumne dziedzictwo i nie mogąc pokruszyć dumy San Marina mieczem, sprowadzili nań ekskomunikę papieską w r. 1247. Pewnie nie brakło argumentów o Sodomie i Gomorze, o zbytnim pijaniu wina i rozpustnej wolności. Sanmarińczycy odpowiedzieli budową fortecy. Z tych to czasów pochodzi zarys dzisiejszych murów miasta i trzy jego baszty, zaopatrzone na herbach w pióropusze, stąd „penne”, czyli „piórami” zwane o starych dantejskich imionach Guaita, Cesta i Montale. Znane są te wieże po całym świecie, a w każdym razie wszędzie tam, gdzie zbierają znaczki pocztowe.

Ekskomunika rozeszła się po kościołach, a wiek XIV zastaje republikę w rozkwicie. Z onych to czasów pochodzą fundamenty jej praw i ustroju, choć prawo po większej części jest tu do dziś wiernie starorzymskie. Miało San Marino możnych opiekunów i stronników w wielkiej włoskiej macierzy, zwłaszcza w dalszych prowincjach, a więc w Urbino, w Pesaro, Forlì, Florencji i Neapolu. Miało zawistników i wrogów, rzecz jasna, w sąsiedztwie. Złym i dumnym Malatestom z Rimini solą w oku była wolność i niepodległość republiki. I znowu nie mogąc ugryźć zębami, ściągnęli na Titano ekskomunikę. Wtedy król Neapolu zawarł przymierze obronne i poręczył wolność San Marina. Był to rok 1450 i przymierza na ogół szanowano. Malatestowie zostali pobici na głowę przez neapolitańczyków, a wśród wojsk zwycięskich błyszczał niejeden miecz z San Marino. Papież Pius II zdjął eksko-

munikę z grobu świętego Marina i poszerzył granice republiki, ostateczne i po dziś dzień nigdy nie zmieniane.

Oprócz stolicy, pod nazwą San Marino, wraz z dolnym miastem Borgo Maggiore (dziś około 2.000 dusz), państewko obejmuje gminy i parafie: Pieve, Acquaviva, Chiesanuova, Domagnano, Faetano, Fiorentino, Montegiardino, Serravalle i San Giovanni (zwróćcie uwagę na piękno tych nazw). Razem około 13.000 mieszkańców, obszar 61 km. kw. i obwód około 30 km. Na skale Titano pobudowane jest tylko samo San Marino. Reszta jego gmin rozsiadła się na opadających pagórach.

Po zwycięstwie nad Malatestą słońce nie zachodziło nad republiką, cieszącą się miłością papieży, opieką panów Urbino, króla Neapolu i republiki florenckiej. Dopiero Cezar Borgia pierwszy pogwałcił niepodległość San Marina, zbrojnie wkraczając w mury republiki w r. 1503, aby zmusić ją do wejścia w skład wielkiego państwa Italii środkowej. Ale plany te runęły ze śmiercią Borgii. Wolność wróciła do San Marino i zdawało się, że sąsiedzi pogodzili się z istnieniem samodzielnej republiki na zawsze, lecz piorun błysnął na odmianę z Rawenny. Kardynał Juliusz Alberoni w oparciu o królów Hiszpanii śnił o odnowieniu wielkiego państwa katolickiego w Italii ze stolicą w Rawennie. Przy pomocy zdrady i siły wtargnął niespodziewanie na czele swych wojsk, zbirów i milicji do San Marino, ogłaszając koniec istnienia niepodległej republiki w r. 1739. Niewola trwała krótko. Dyplomacja sanmarińska nie zasypiała gruszek w popiele i błagała łagodnego papieża Klemensa XII tak długo, aż posłał swego wikarego z Perugii, Henryka Henriquez, do San Marino, który po trzech miesiącach w imieniu papieskim restaurował jego wolność.

Orle oczy Napoleona zatrzymały się również na skale Titano. Namawiał on regentów republiki do powiększenia jej granic. Wielki Korsykanin pasjami lubił tworzyć nowe państwa. Aliści regent Antonio Onofri z godnością odrzucił łakomą pokusę w słowach: „Byliśmy szczęśliwi będąc małymi, małymi chcemy po-

zostać". Najdziwniejsze na świecie jest chyba to państwo San Marino, gdzie bohaterów narodowych czci się za to, że nie chcieli powiększenia granic i gdzie dumą najwyższą jest wola małości. Za tę skromność Bóg wynagrodził sanmarinian, bo gdy po upadku Napoleona zwycięzcy bez pardonu karali jego popleczników, republikę zostawiono w spokoju. Ale portrety marszałków napoleońskich zdobią do dziś salę pałacu rządowego.

W r. 1849 w murach San Marina zagościła inna historyczna wielkość. Scigany przez potężnych nieprzyjaciół bojownik o wolność i jedność Włoch, Giuseppe Garibaldi, krył się w górach Romanii z wiernym legionem i ze swą bohaterską żoną i towarzyszką broni, Anitą, mającą niebawem umrzeć przy narodzeniu dziecka na etapie wojennym. I oto, kiedy Garibaldi zastukał do bram San Marino prosząc o krótką gościnność, znalazł ją. Małeńka republika narażając się na gniew państwa papieskiego i imperium habsburskiego, zamanifestowała oto dumnie swój republikanizm. Tu wydał zjednoczyciel Włoch rozkaz dzienny z 31 lipca 1849, rozwiązujący czasowo wobec przemocy swój legion: „Wracajcie do waszych domów, ale pamiętajcie, że Italia nie może żyć w niewoli i hańbie”. Gdy nazajutrz zbiry Habsburgów szukały legionistów i ich wodza w San Marino, byli oni już za jego granicami.

W pierwszej wojnie światowej żołnierze z San Marino ginęli za sprawę większej ojczyzny. Twórca włoskiego faszyzmu w czasie swej uroczystej gościny w San Marino poręczył wolność republiki nazywając ją faszystowską. Wszystkie paradoksy mogą się odnosić do San Marino.

W drugiej wojnie światowej Titano stało się znowu arką nad potopem wojny. Raz tylko fala krwi bluznęła o arkę w postaci nawały artylerii niewiedzieć czyjej, która zniszczyła bogate muzeum i przyprowadziła o śmierć sześćdziesięciu kilku obywateli. Tymczasem u stóp Titano rozgrywała się jedna z najkrwawszych bitew tej wojny — o Rimini.

W latach następnych, 1945 i 46, na ulicach San Marino obok mowy włoskiej zapanowała polska. Napisy w języku polskim

zapraszały, informowały, przestrzegały. Żrenice polskich żołnierzy wysilały się poprzez siność adriatycką, kolana zginały się w kościołach, wzrok ślizgał się po przepaściach. San Marino stało się ulubionym miejscem związków małżeńskich polsko - włoskich. Skala sanmarińska przypomina jakieś Zamki Orawskie, Czorsztyn lub Niedzicę. Gdyby morze ją oblewało wokół, byłaby bardzo podobna do Capri. Tylko że tamto kąpie się w żywiole morza, a San Marino wspiera się o żywioł gór. Ale miasto o stromych, wąskich uliczkach, z drobnymi pałacami z majolikami napisów, z pianką wieżyczek i kapliczek, z koronkami fryzów, jak w baśni o Szklanej górze, jest bliźniakiem morskiego Capri.

Gdy wejdzie się w mury San Marino, czuje się od razu dotyk czarodziejskiej różdżki tego uśmiechu historii i sztuki, któremu mieszkańcy sami nadali w uwielbieniu przydomek „serenissima” — najpogodniejsza. Palce historii wyrzeźbiły tu mnóstwo pałacików, kościołów, wież, pomników. Każde z nich ma swą cudowną historię, jak wszystkie, najdrobniejsze nawet, postacie z bajki.

Główny plac republiki nie nazywa się ani placem wolności, ani niepodległości, ani republiki, ani żadnym wielkim imieniem, a po prostu — daszkiem, „pianello”. Plac na daszku jest miejscem parad republikańskich. Odbywają się one, jak to zwykło być wac pod niebem Italii, często i pompatycznie. A to jakiś święty, a to rocznica, a to winobranie, a to święto kościelne lub narodowe. Ale najdostojniej odbywają się dwukrotnie w roku uroczystości wyboru nowych regentów, obieranych na 6 miesięcy z prawem reelekcji dopiero po trzech latach. Wtedy to, w dniach 1 kwietnia i 1 października, oczywiście biją dzwony, na czele kroczą w tradycyjnych strojach dwaj regenci, za nimi rada sześćdziesięciu, gwardia honorowa, gwardia republikańska, milicja, żandarmeria, pyszne stroje, akredytowani posłowie, kity, muzyka, sztandary białe - niebieskie, publiczność. Potem uroczystości w kościele, następnie w pałacu, wreszcie odwiecznym ludzkim obyczajem w trattoriach, których nie brak republice.

Ustrój San Marina skrzystalizował się w XVII wieku, a władze republiki przededefilowały już przed naszymi oczyma w dzień wyboru regentów. A więc na czele dwaj regenci, dalej Arringo Generale, rada przyboczna, czyli rząd, wybrany spośród Consilio dei 60, rady sześćdziesięciu. Własne sądownictwo, oparte na prawie rzymskim, własna moneta i poczta (dziś w obiegu jest tylko moneta włoska). Dyplomacja w kilku krajach Europy i Ameryki — niezbyt biegła w obcych językach, ale o dużym poczuciu demokratyczności.

Pałac rządowy urządzony jest jak dom mieszkalny lub dwór szlachecki, a kominki w komnatach symbolizują pokojowy, domowy, gospodarski charakter republiki. Są tam wspaniałe portrety i obrazy, ze słynną rzymską matroną Anonima, herby, napisy, księgi, lwy, sentencje, stylowe meble. Wymieniać próżno, bo o tym piszą przewodniki. Jest ich włoskie bogactwo. Kościół czyli Plebale albo Pieve, gdzie spoczywają szczątki św. Marina, haniebnie przerobiono na neoklasyczny. Przylega doń stara wielowiekowa resztówka z owymi niszami skalnymi i galerijką, skąd się ogląda dalmatyński brzeg. Klasztor Kapucynów budowany był w XVI wieku. Pod jego portykiem czytał Garibaldi ostatni rozkaz do swego legionu. Trzy słynne wieże nie posiadają fundamentów. Rosną wprost ze skały. W jednej z nich mieści się operetkowe więzienie, o którego więźniach mówią złośliwi, że są płatną atrakcją dla turystów. W każdym razie zachowują się jak aktorzy i dumni są z losu, który ich zaprowadził do sanmarińskiego karceru. Dostojne starożytne pałace mają taki wygląd patriarchalny, jak zapewne na Odyseuszowej Itace.

Ale nam śpieszno na wino. Wino sanmarińskie grzeczne jest bardzo. Jest to odmiana regionalnego Sangiovese, podobnego w smaku do Chianti. Trattorie republiki reklamują jednak raczej swoje moscato. Język włoski zadziwiająco jest podatny dla poezji.

„Cittadino forestiero
Troverai vino sincero”.

(„Obcy przechodniu znajdziesz tu szczere wino”) — głosi napis na wesołej, przytulnej tawernie del Pianello. A długa dewiza groty „San Marino”, kończy się dwuwierszem:

„Queste dorate nostre tagliatelle
Non hanno in tutto il mondo le sorelle”.

(„Te pachnące nasze tagliatelle nie mają równych sobie sióstr w całym świecie”). Nie masz sióstr dla włoskich makaronów! I mało gdzie pije się tak błogo, jak w San Marino.

O zachodzie słońca najlepiej jest spojrzeć z Piazza del Pianello na góry Romanii. Złocą się najpierw, potem czerwienieją, na koniec sinieją, aż czarna noc je zasłoni. Wtedy przychodzi myśl jedyna: ziemia się modli. W San Marino Anioł Pański zwiastuje Pannie Marii.

CITTÀ DELLE BELLE DONNE

Dante Alighieri lubił bardzo Bolonię. Chadzał po niej z głową zadartą ku pałacom, portykom i wieżom. „Gdy patrzysz w obłoki płynące nad wieżą Garisendy, zdaje się, że wisisz nad niezmierną przepaścią” — pisał w „Boskiej Komedii”. Wiersze te sfrunęły jak motyl z poematu i tuła się do szorstkiej pochyłości wieży. Razu pewnego urzekł Dantego promień dwu nici słonecznych, tryskający z opoki murów miasta. Długo nosił poeta tęsknotę w sercu za tym zjawiskiem, aż odpłynął od jej brzegu na łodzi sonetu, w którym oczy bolońskiej dziewczyny nazwane są kwiatami wśród kamieni. Mądry Dante objął wzrokiem obie piękności Bolonii: murów i kobiet. I porównał je do kwiatów, które były na miejscu.

Nigdzie bardziej, jak w Bolonii miasto nie jest podobne do masywu górskiego. Nocą zwłaszcza, gdy nikną ludzie, a ożywają kamienie. Księżyc czytuje wtedy baśnie pałaców Bolońskich. Są one jak księgi, oprawne w pergamin bram, spięte klamrami portyków, a wewnątrz, jak poźółkle i zmuszałe foliały. Albo właśnie jak góry, biegnące pasmami sierr i kordylierów, mierzące w gwiazdy wierzchami wież, od których poszedł przydomek miasta — „*Bolonia turrita*”. Kościół św. Petroniusza wisi nad placykiem Galvaniego jak ściana skalna. Plac Wiktora Emanuela i Neptuna ściele się jak dno doliny, a niekończące się galerie bolońskich podcieni biegną jak skałki nadbrzeżne nad wodami potoków.

Kolor Bolonii jest ceglasty albo piaskowy. Nie ma tu już kamienia z południa Italii i dlatego kościoły budowane są z cegły. Gdy leją deszcze, domy miasta stają się podobne do gór, ściekających błotem. Ale w dni jasne, w dni powszednie pałace Bolonii

przypominają strojność swych mieszkańek. Pod skromnymi facjatkami, nakrytymi rzęsami balkonów, wiszą fartuszki podcieni, a dumne czoła zdobią przepaski wymyślnych gzymsów, a nawet kamee płaskorzeźb i naszyjniki girland. Nie ma w nich surowości florenckiej siostrzycy.

Ze stoków Apenin Emiliańskich, ciągnących się ku Florencji spiralami dróg po zboczach gór jak konchy, Bolonia wygląda jak kolista scena. Zanim ludź apenińskie, poczynając od Etrusków, nie poustawiały dekoracji miasta, okolonych murem, który przetrwał prawie równe 700 lat, miejsce, gdzie stoi Bolonia, było areną, wysypaną pracowitym, górskim trudem rzeki Reno. W dawnych wiekach straż miasta wychodziły na szczyt Monte della Guardia, by wypatrywać, z której strony grozi miastu niebezpieczeństwo. Tam też ustawiono największe sanktuarium Bolonii — Madonnę św. Łukasza, by strzegła miasta. Bolończycy wierzą, że ich Czarna Madonna, siostra naszej Częstochowskiej, jest dziełem św. Łukasza. W każde Wniebowzięcie obraz w pobożnej pielgrzymce niesiony jest ze wzgórza do katedry w mieście i wystawiony dla adoracji. Aby Madonna z bliska przyjrzała się swoim poddanym. Tylko tej jednej władzy Bolończycy nie zmienili od wieków.

W obawie przed częstymi zmianami innych władców opisali się Bolończycy kołem murów. Przyjaciółom służyły wąskie bramy. Nostra Donna di San Luca wkracza do miasta bramą Saragozzy. Wewnątrz murów wznoszą się góry Bolonii: kopuły i wierzchołki 130 kościołów i 20 klasztorów, szczyty gmachów uniwersyteckich i pałaców, iglice wież, licznych kiedyś. Pozostały z nich dwie tylko — Garisenda i Asinelli z XII wieku — jak dwie nierówno palące się świece, skrzywione ku sobie w lichtarzach.

Bolonia budowała wszystko na pokaz, dla podziwu ludzkiego. Wszystko w tym mieście służy sztuce. Aż dziw, że wśród tej wystawy mieszkają ludzie. Bolonia, Florencja i wiele małych miasteczek Italii stoi tylko na chwałę sztuki. Oddycha się w nich sztuką, jak wonią lasów. Najwyższe jej drzewa rosną w Bolonii z połączonych placów Wiktora Emanuela i Neptuna: nieukończona ba-

zylika św. Petroniusza, która miała zaćmić piękno wszystkich włoskich kościołów, pałac króla Enzio z wieżą Kapitana, gdzie był więziony, kochał i umarł syn cesarza Fryderyka II, pałace Podesty, miejski, Notariuszy, zwanych od XIII wieku konsulami, Bankowy, od bankierów, pobrzękujących nieprzerwanie sakiewkami od XI do XIV stulecia w cieniu najpiękniejszego w mieście Portyku Kwiciarek (delle Fioraie), kościół Matki Bożej Życia (Santa Maria della Vita), Museo Civico, Archigimnazjum z teatrem anatomicznym. W cieniu tego boru wysokich, masztowych drzew sztuki stoją trzy posągi, poświęcone trzem mocom duszy: poezji, nauce i polityce. Wiktor Emanuel II pędzi na koniu przez plac szeroki, uczony Galvani w ciasnym kątku za kościołem św. Petroniusza wpatruje się w żabie udka, poruszane nowoodkrytą siłą, a bronzowy Neptun rzeźbiarza Gianbologna syci się na bolońskim pomniku nie szumem wód, lecz mlekiem nagich, ściskających swe piersi syren. Miasto pięknych kobiet jest najdumniejsze z tego właśnie pomnika.

Ulice Bolonii są jak przesieki w lesie sztuki. W którąkolwiek stronę miasta się ruszyć, stanie się w obliczu piękności architektury. Nie są to tylko doskonale klasycznie budowle gotyckie, renesansowe i barokowe, ale często nacechowane jakimś niepowtarzalnym znamieniem, aby nic się w świecie równać z nimi nie mogło, aby były tylko bolońskie. Więc krzywe wieże, więc kościół św. Petroniusza, który był rozplanowany tak ogromnie, że nie udało się go ukończyć, więc siedem kościołów w jednym, „Jerozolima bolońska” św. Stefan, zapadnięty ze starości w ziemię, ze źródłem Piłata w kamieniu, rytym w pismo Longobardów. Spod tego przedziwnego kościoła — różańca, w którego niskich niszach wierni modlą się przez tydzień co dnia w innej, osnutego gęstą pajęczyną legend i wydarzeń, ruszały z Bolonii krucjaty i do niego wracały, zrywając gałązki z rosnącego przed kościołem dębu.

Rejestr sławnych synów Bolonii, znanych całemu światu, nie mówiąc o wielkich przechodniach, byłby niekrótszy od litanii do Wszystkich Świętych. Pierwszą historyczną godzinę miasta wydz-

woniło imię, od którego poszła nazwa Bolonii — Bon, wódz Galów, założyciel Bononii, długo równoznacznej z Bolonią. Hannibal prowadził wtedy budzące grozę wojenną słońce. Konsul Lepidus wciął Bolonię w II stuleciu przed Chrystusem w obręb imperium. Karol Wielki uczynił ją wolnym miastem. W krwawych zmaganiach cesarzy z papieżami papieskiej Bolonii przypadła sława pokonania i wzięcia do niewoli syna Fryderyka II — Enzo, króla Sardynii, więzionego w pałacu Podesty i zakochanego później z wzajemnością w uroczej Boloniance, Łucji Viadagola. W Bolonii często gościli papieże i zjeżdżali się tu z monarchami. Leon X spotkał tu Franciszka I, cesarza Francji, Klemens VII koronował w kościele św. Petroniusza Karola V na cesarza, błogosławiąc mu, aby słońce nigdy nie zachodziło w jego państwie. Napoleon przyłączył Bolonię do republiki lombardzkiej, a Garibaldi ze swym „Tysięcem” wyruszał w bój o wolność z wioski Quarto pod Bolonią.

Rodziła Bolonia świętych: Prokula, Witalisa i Agrykolę, męczenników: Petroniusza, Franciszka, Dominika, uczonych: wielkich prawników i glossatorów średniowiecza, pierwszego anatoma Marcelego Malpighi, fizyków Galvaniego i Marconiego, obu złożonych w ziemi bolońskiej, największego poliglotę świata Mezzofantiego, artystów: Franciszka i Jakuba Francia, Gwido Reniego, który spoczywa w kościele św. Dominika, Guercina, Gianbolognę, Costę i trzech Carracich. Studiował w Bolonii Kopernik, przybył do niej na wygnanie Michał Anioł, kształcili się malarze sienieńscy, Baltazar Peruzzi i Jakub della Quercia i z prowincji emiliańskiej Bagnacavallo i Francesco da Imola, ulubili sobie miasto muzyk Joachim Rossini, poeci Giosue Carducci i Giovanni Pascoli.

Polskie nazwiska uderzały w Bolonii o sklepienia sal uniwersyteckich i koszar wojskowych. Na słynnej już od XI stulecia bolońskiej Alma Mater Studiorum, zwanej też lampą praw, lucerna iuris, Polacy w XV, XVI i XVII stuleciu byli najliczniejsi wśród „ultramontanów” i stawali często na czele ich korporacji jako rektorowie, podobnie jak w Padwie. Padwa i Bolonia były „polskimi” wszechnicami. Bywali również Polacy profesorami w Bolonii.

W XVI wieku kolejno zasiadało kilku na katedrze astronomii. Męczyli się zapewne nad pisownią i wymową polskich nazwisk bolońscy profesorowie. Może „scholarz boloński, studiujący prawo kanoniczne, kapłan ustanowiony” (jak głoszą akta uniwersytetu), Kopernik, mieszkający wraz z bratem w klasztorze Zbawiciela, nie sprawiał trudności w wymowie profesorom, podobnie jak Marcin Kromer, ale zapewne ciężko było z Klemensem Janickim, Janem Kochanowskim, Andrzejem Fryczem Modrzewskim, Janem Zamoyskim, Szymonem Szymonowiczem, Hozjuszem, Sobieskim. Dumna była Bolonia ze swego ucznia, Jana Sobieskiego i po wiktorii wiedeńskiej stała się naczelną w świecie poetycką kuźnią jego chwały w panegirykach, eposach, a nawet heroikomicznych poematach w gwarze romańskiej.

Chociaż Adam Mickiewicz był tylekroć sławiony przez Mazziniego jako najwybitniejszy człowiek jego epoki, a Towiańczycy włoscy wierni są po dziś dzień swemu mistrzowi w imię Mickiewicza, na pewno wielkie było zdziwienie Bolończyków, gdy odcyfrowywali nazwisko Mickiewicza na tablicy domu, w którym mieszkał, przy ulicy Maggiore, 14, dziś Mazziniego. Tablica ta okazała się najtrwalszym śladem działalności utworzonej w Bolonii w r. 1878 Akademii Historii i Literatury imienia Mickiewicza, powołanej do życia jako protest przeciw męczeństwu Polski — przez profesora chemii, Dominika Santagata. Tablica oddaje cześć zarówno poecie, jak i „twórcy i wodzowi legionu polskiego w wojnie o niepodległość Italii”. Profesor Santagata na pierwszym posiedzeniu Akademii, po przemówieniu Teofila Lenartowicza, przypomniał pobyt Mickiewicza w Bolonii dnia 24 kwietnia 1848. Za ledwie Mickiewicz zajechał do mieszkania swego przyjaciela z Paryża, adwokata włoskiego Fryderyka Gaucha, wnet pod oknami domu zjawił się tysięczny tłum z pochodniami i orkiestrą. Wtedy pułkownik Siodolkowicz, towarzyszący Adamowi, otworzywszy okno, wywiesił flagę polską na znak, że wolna Polska jest wszędzie tam, gdzie są wolni jej synowie. Opierając się o drzewce chorągwi przemówił do tłumu Mickiewicz „swym akcentem zmęczo-

nym, ale natchnionym najwyższym pragnieniem zrzucenia okropnego jarzma, które uciskało jego i naszą ojczyznę". Mówił chyba po włosku, skoro tłum wznosił gromkie okrzyki i skoro jakiś student boloński odpowiedział gorącą oracją. Wolność jest w herbie Bolonii.

Mickiewicz w Bolonii, to już ta druga strona polskiego medalu: wojsko. Orzeł Biały latał kilka razy nad Bolonią, a raz nawet niedaleko stąd, w Reggio Emilia, kiedy legiony Dąbrowskiego stały garnizonem w Bolonii, upuścił pióro, którym Józef Wybicki napisał słowa: „Jeszcze Polska nie umarła". Sto pięćdziesiąt lat potem polatywał w górnym pędzie, kiedy wojska z Korpusu, zwyciężając bitwę po bitwie, weszły w bramy Bolonii. Wtedy to Alma Mater wydała odezwę, wyrażającą radość, że pierwsze do Bolonii wkroczyły wojska „siostrzanej Polski". Uniwersytet Bolonii, która ma słowo „Libertas" w herbie, witał polskich żołnierzy w imię pamięci swoich studentów o szeleszczących nazwiskach.

W jakimś dziwnym pobratymstwie są widać dostojna mądrość i żakowska radość, stare księgi i pusty śmiech, formuły nauk i śpiew przy winie, pył na ławach i zielone pączki w ogrodach, skoro „uczona", „dotta Bolonia" uchodzi za miasto gdzie doczesnym rozkoszom nie stawia się granic. Byle pozór wywołuje w Bolonii zabawę. Pierwszy śnieg jest hasłem do hucznej radości. Studenci, wiadomo, umieją urządzać zabawy. Tedy śnieg, przyrządzony po studencku tylko się od śniegu zaczyna. Kule z pierwszego śniegu zanoszą studenci na srebrnych tacach dygnitarzom miejskim i akademickim. A potem? Kto rozumie ów symbol, ten rozumie wszystko. Wiezorami zamiast patrzeć w gwiazdy, ustawiają sobie studenci świeczki po rogach stołów. Nie śpieszno do gwiazd studentom. I krótkie są noce studenckie.

Bolończycy zwykli uważać stół za poezję: potrawy za rymy, a wina za rytmy. Stąd najsmakowitsza kuchnia nazywa się w Italii zawsze bolońską, a najlepszy sposób przyrządzania dań jest „alla bolognese". Wśród wielu sławnych synów posiada Bolonia sporą gromadkę poetów smaku. Jednemu z nich, hrabiemu Vin-

cenzo Maria Lini, pachniały w snach mięsa smażone, pieczone i potrawy, powstające w jego fantazji jak liryka (lirycy rozumieją, co to metafora). Drozdy na kółkach, raczki dmuchane, węgorze w różowej galarecie, koziołki z różną, ostrygi na muszli, makarony odświętne (pasta al trionfo), daniel marynowany były mierzone rytmicznie jak jedenastozgłoskowce z cezurami win. Poezja kuchni kwitnie wśród dzwonięcia rynek i rodzi się w zaczynie chlebowym. Pisarz używa atramentu, malarz pędzla, a hrabiego Lini narzędziem było pióro mewy. Spod tej czarodziejskiej różdżki wyrastały linie, kształty i barwy: wypukłości piersi, oddzielonych wąziutkim paskiem, smukłość szyjek ze ścięciem nitki, bruzdy na pancerzu grzbietu, a potem koła, kwadraty, romby cięć i bryły gotowych poematów. Niektóre bażanty podawało się gotowane z ogonem, spryskanym octem i cytryną i wyglądającym jak bukiet margaretek. Do każdej potrawy dostosowany był kolor wina (wina tych okolic są wielokolorowe). Stoły przypominały grządki ogrodów, rabaty kwietników, działki poletek. Co dzień jadło się u hrabiego Lini co innego, a kwatery jego dowództwa mieściła się w kuchni wśród stosów książek i przepisów kucharskich na świstkach, które hrabia ustawicznie uzupełniał i modyfikował. „Nuż też kurczątko, nuż kaczątko, nuż też i gołębiątko, wszystko to nic nie wadzi, bo to bez trudności a na poły z krotofilą wszystko być może”. Abyśmy wiedzieli, że nie tylko za króla Sasa...

W Bolonii nie faworyzuje się specjalnie wina. Pija się dużo wódek i likierów: białą anyżówkę, zieloną certosinę (kartuzówkę), balsamiczne marasquino (z Zary), benedyktyniak, czarną i gorzką amaro-chinę i fernet-brankę, no i dumę włoską — jałowcową żółtą strekę. Osobno stoi „fior di vita” grappa, czysta wódka winogronowa, którą Włosi usiłują kreować na narodową wódkę i która jest niezła, kiedy jest dobra, co się zdarza rzadko. Grappa kokietuje bukietami kwiatów, wprawionych w dno butelki. Koniak także nie jest w pogardzie w Bolonii, produkuje się owszem na miejscu i zdobi go zgrabna końska główka. Bardzo też blisko Bolonii do prawdziwych turyńskich i mediolańskich wermutów.

Z Mediolanem żyje Bolonia na stopie wzajemnego poszanowania. Do niedawna raz w roku tłum szczerbie zalegał ulicę San Felice, gdy przez nią wchodził do miasta wół olbrzymi, nakryty pokrowcem biało-morelowym, poprzedzony przez trębaczy. To dar Mediolanu dla sąsiadki. Niebawem popędzi ku Mediolanowi wóz pełen kielbas i — niegdyś — baryłek oliwy. Sława oliwy bolońskiej przewyższała Alpy i zwyciężała morza. Dziś oliwki zniknęły z pagórków bolońskich, które się ustroiły inną zielenią. Winnice bolońskie nie wspierają się, jak w Toskanii, na niskich słupkach, lecz wielmożą się na łączonych drutem pniach morw i wiązów, tworząc portyki szerokolistnej zieleni.

Dar mediolański spożywa lud boloński na jednym z placów miasta. Już kucharze ćwiartują wołu, solą, a tłuszcz topi się i skwierczy w ogniu, jak воск świecy. Jeden z ojców magistratu rąbie toporem mięsiwo, a marszałkowie stołu roznoszą je ubogim, zaproszonym przez podestę. Plac staje się ogromnym stołem, oświetlonym pochodniami. W tym czasie wóz z kielbasami dojeżdża do Mediolanu. Już od rogatek ciągnie się za nim ogon ludzki, wdychając łaskotliwe zapachy. Uciecha jest chlebem życia.

Zielone ogródki trzymając się za ręce opasują Bolonię roztańczonym kołem. Pachną różami i jaśminem, a w ich zielone włosy wpięte są lampiony. Dziewczęta bolońskie w tych ogródkach są najszczęśliwsze, tuląc się do krzaków bzu albo jaśminu albo do studzienki lub tylko do aksamitu nocy. Melodie odrywają je co chwila od bzów, studzien i nocy w wir tańca. Melodią najśłodszą są dla dziewcząt dwa wyrazy: amor i bacio. Wszystko jedno, jakie są inne słowa pieśni. Dla tych dwu mrużą się oczy dziewcząt.

„Amor, amor, amor...

Io dico a te, tu dici a me
sinceramente...

Amor, amor, amor,
Io bacio te, tu baci me
perdutamente...”.

Najszczęśliwsze słowa miłości i niekończące się pocałunki mają w Bolonii urodę i kruchość skrzydeł motyli. Żyją chwilą jętki - tańca. Tylko po nich barwy zostają na palcach. Jakiś zgorzkniały Francuz wyraził się, że w Bolonii jest więcej łapek, niż mysz. I kwiatów, niż owoców.

Gdy z tych bardzo zielonych ogródków wraca się późną nocą przez ulice Bolonii, las sztuki pachnie wtedy najmocniej. Z tawerny jakiejś zawsze doleci śpiew studencki:

„Viva Bologna —
Città delle belle donne!
Noi siamo le colonne
Dell'università.
Ma se non arriva
Il vaglia di papà,
Noi siamo le colonne
Del „Monte di Pietà”!
(„Niech żyje Bolonia —
Miasto pięknych kobiet!
Jesteśmy kolumnami
Uniwersytetu.
Lecz jeśli nie nadejdzie
Przekaz ojcowski,
Będą z nas kolumny
Lombardu!).

Pędzą wichry przez świat, burzą miasta, osuszają wody, wywracają królestwa, przesuwają granice, tylko nie mogą się dostać do serc ludzkich. Serca pozostają niezmienione w swoich granicach. Chciałyby też cały świat mieć na obraz swój i podobieństwo. Żeby Bolonia pozostała niezmieniona na zawsze. I żeby móc powracać nocą na plac Neptuna i napatrzywszy się do syta syrenom i nasłuchawszy studenckich pieśni, podnieść głowę i widzieć gwiazdy poprzez wieże Bolonii.

ŻYCIE RZYMU PŁYNIE ULICAMI

Kiedy ludzie mówią: „Ren jest przecudny” lub gdy śpiewają o pięknym modrym Dunaju albo oczyma duszy toną w urodzie lagun śródziemnomorskich, nie chodzi wtedy o Ren, Dunaj ni morze. W wyobraźni jawią się zamczyste lub cieniste, jak w pieśni Krymhildy, brzegi Renu, lesiste pobocza Dunaju, z których dalekich horyzontów wybiegają ku niebu wieże Wiednia, Budapesztu i Belgradu, piękno lagun, odbijające urodę riwier i skalistych brzegów. Gdy ludzie mówią o pięknie miast, myślą o osadzie historii: o kościołach, pałacach, pomnikach. Ale istnienie pięknych form, brzegi, zamki, wzgórze, lasy wzięły swój początek i zależą od majestatu toczących się fal; miasta, pałace, pomniki od majestatu fali ludzkich żywotów. I wcale najwyższe wzloty geniuszu człowieka nie utrwały się w tych postaciach, a okrzepla w nich tylko cząstka ich natchnienia. Gdy tedy pragnie się usłyszeć rytm serdeczny człowieczeństwa, nie ku wieżom tylko trzeba obracać oczy, ale spojrzeć na fale — na tłum, płynący ulicami, przez domy, podwórza, sienie, poddasza, strychy, piwnice, wnęki, schody.

A fale ludzkości są jak fale rzeczne: to jasne, przeczyste, to spienione, mętne, brudne, wyschłe, ciepłe-błogie i zimne-okrutne, ciche i huczące; życiodajne i niszczące; odbijające słońce, gwiazdy i błyskawice; wiślane i wołzańskie.

Kiedy Pan Bóg lepił świat z gliny, pomyślał, że Rzym będzie na tym świecie Jego stolicą. Nie tylko się wtedy nad nim uśmiechnął, ale wetknął już w swej wyobraźni krzyż w miejsce kopuły św. Piotra, kazał tu najpiękniej wschodzić i zachodzić słońcu,

drzewom polecił rosnąć najwyżej i najdziwniej, różom kwitnąć najobficiej, Tybrowi powyginać się wielokrotnie, ptakom przelotnym urządzić postój ich zamorskich szlaków w ogrodzie Pincio, a ludzi umyślił sobie natchnąć tu wielkością pomysłów i cudotwórstwem ręki. Ale ludzie odwrócili się od dzieł Bożej ręki i powiedzieli sobie, że świat jest zły i pełen cierni. Czy naprawdę lepiej chwali Boga ów, kto twierdzi, że świat ten jest tylko łez padolem i wygnaniem z raju, dopustem Bożym w oczekiwaniu na lepsze życie, na nagrodę za męki doczesne, czy ten, kto śpiewa hymn pochwalny życiu, komu świat jest cudną, kolorową bajką?

Niech się tu zatrzymają ci, dla których życie jest pokutą a i ci, dla których jest malowanką, układaną z kilkudziesięciu kostek, bo kostki które niesie fala życia ulicy są bardzo liczne i nie dadzą się ułożyć w regularną malowanke. Pójdziemy ulicami Rzymu, nie zadzierając głowy ku pomnikom, wieżom i pałacom, nie strojąc min poważnych na widok antyków i arcydzieł, nie bąkając wielkich nazwisk i łacińskich przysłów. Weźmiemy z nich tylko to, co zostało się do dziś jako żywy rumieniec na pyzatyach policzkach życia.

Rzymów jest bardzo wiele. Każda nudna książeczka wylicza trzy: starożytny, średniowieczno-papieski i nowy. Dowcipniejsi badacze liczbę tę mnożą przez dwa, trzy, cztery, a Sienkiewicz wybrnął z tych obliczeń najtrafniej, twierdząc, że każdy ma swą osobistą Italię i że nawet warto pisać wspomnienia, bo zawsze w nich jest coś takiego, czego nie było w poprzednich. Jest to „nowy i odmienny stosunek oczu”. Jeden tylko element w Rzymie jest niezmienny: powietrze. W chemicznym jego składzie jest niewątpliwie nieznany jeszcze chemii pierwiastek: historicum. Jest to jakby czad. Czad historii. Wisi on nad miastem bez przerwy, a zagęszcza się o zmroku, gdy uliczki, niezmienione od wieków ni „linią ni cyrklem”, ślimaczą się w wieczornych sentymentach. Granic epok w Rzymie szukać na próżno. Trzeba by cały Rzym zburzyć, chcąc przeprowadzić salomonowy proces podziału. W każdej budowli są cegły królewskie, republikańskie, cesarskie, pa-

pieskie, bizantyńskie, a nawet z tych czasów, o których się mówi, że „to było dawno i nieprawda”. Kradną nie tylko kieszonkowcy. Kradną cesarze, konsulowie, dygnitarze krwi, złota i urzędu. O Rzymie starożytnym ktoś powiedział: „Quod non fecerunt barbari, fecere Barberini” („Czego nie dokonali barbarzyńcy, zrobił to ród Barberinich”). Im podobnym, a nie zębowi czasu, starożytny Rzym zawdzięcza ruiny, a potomny przepych budowli. Rzym historyczny tkwi w życiu bieżącym i nie jest od niego oddzielony barierą historii dlatego, że życie płynące z tamtych kamieni i cegieł ma dziś taki sam smak, jak wtedy, gdy tamte starożytności wznosił ktoś, niszcząc jeszcze bardziej stare.

Toteż dlatego, aby nie popadać w strach, że nasza epoka niesie cynizm, przekreślenie wartości kulturalnych, materializm i inne brzydkie terminy, warto uchylić okienka historii i mrugnąć porozumiewawczo do ludzi tamtych czasów. Rzym polski, to nie jest niezliczona ilość grobowców, tablic, ołtarzy, obrazów, herbów, dwa kościoły, zakony polskie, Matka Boska Żyrowiecka w Santa Madonna del Popolo, pałac Marysieńki na Via Sistina, pomnik marsz. Piłsudskiego, ulice o polskich nazwach, foliały historii. Rzym polski, to jest Rzym cały, Rzym wszystkich epok i dzieł ludzkich. Z Rzymu popłynęła kultura polska i Rzym jest jej historyczną stolicą. Dzieje nasze grały się także na rzymskim teatrze i życie polskie płynęło również ulicami Rzymu.

Różnie tam z tym życiem polskim w Rzymie bywało: dostojnie, hucznie i ubogo, studencko i wojacko, świątobliwie i rozwiąźle, mądrze i głupiutko, artystycznie i tuzinkowo. Jak dobrze, że minęło niepowrotnie to, co kiedyś imponowało panom braciom — owe blażeństwa z gubieniem złotych podków przez rumaki Ossolińskich, półtora miliona złotych zebrane na powtórkę tej premiery w postaci niedoszedłego poselstwa Jana Tarty, korowody lokai i komedianatów w perukach, parasole i wielbłądy królowej Marii Kazimiery przy równoczesnej nędzy polskiego kościółka i hospicjum rzymskiego św. Stanisława. Dwór królowej żył sobie niczego w wiecznym mieście. Zawsze zresztą Polacy chwalili sobie

Rzym. Pamiętnikarze włoscy uważali nawet, że swoboda w Rzymie podobna jest do polskiego liberum veto. Toteż nie całkiem słuszny jest wiersz Słowackiego:

Jeśli Europa jest Nimfą — Neapol
Jest Nimfy okiem błękitnem — Warszawa
Sercem — cierniami w nodze Sewastopol,
Azow, Odessa, Petersburg, Mitawa: —
Paryż jej głową — a Londyn kołnierzem
Nakrochmalonym, a zaś Rzym — szkaplerzem.

(Podróż do Ziemi Świętej)

Sam wieszcz zresztą nie taki znowu pobożny był w Rzymie, skoro tak opisuje dzienny plan swych zajęć: „O godzinie 7 z rana będę wychodził na spacer, aby cokolwiek się chłodem orzeźwić, potem zajdę do kawiarni, potem około 10 wrócę do domu i w płóciennej belluzie będę marzył, pozapuszczawszy żaluzje i gryźć się zapewne będę aż do godziny 4, o której wyjdę na obiad, po obiedzie spacer i wieczór albo samotny albo u pani Richthoffen”. Dzisiejsi Słowaccy nawet się już nie gryzą. Czasem tylko, jak wielki ich patron, lubią „po samotnych przesiadywać oberżach”, „prędko latają” i czytają, jak on, swe utwory przyjaciółom, które za Słowackiego „nie bardzo się im podobały i mówili zawsze, że szlachta nie zrozumie”.

Ale jeszcze dwór Marysieńki. Rzeczowy był w tamtych czasach stosunek do prezentów. Żadne kwiaty, szarfy, orderzy. Papież posyłał dostojnym gościom „regalo delle cento portate” — podarunek ze stu wiktuałów. Maszerowało z tym gęsiego bractwo służących, niosąc na głowach półcie mięsiwa, ptactwo, żywą dziczyznę, sery, szynki, salami, konfitury, cukier, chleb, beczki niezłego wina, oliwę no i zapewne pasta-asciuttę. Po bokach biegło z laseczkami 10 wartowników, „aby czasem który z niosących nie skręcił w boczną uliczkę, a pochód prowadził „maestro di casa”, który po spełnieniu zadania otrzymywał złoty zegarek. (Maciej Loret „Życie polskie w Rzymie w XVIII wieku”). Wobec takiej

śpiżarenki nie dziw, że synalom królewskim zachciewało się figlów. Konstanty Sobieski odbił księciu Sforza Tolle, panienkę z ulicy Bocca di Leone, co się potem przy poparciu mamy skończyło lekkim skandalem.

Śladów zbyt silnej ekstazy polskich pątników w Rzymie daremno szukać w naszej literaturze. Jeden tylko Krasicki wyznał, że wobec Rzymu „reszta widzianego w życiu miała mu się wydać maluczką”. Krzysztof Zawisza pielgrzymował w roku jubileuszowym 1700 do Rzymu i opisał był swe wrażenia w pamiętnikach. Wspomnił o kaplicy Sykstyńskiej, „malowanej od sławnego malarza Archaniola Gabryela, w której kaplicy malowany jest po wszystkich ścianach Sąd Ostateczny”. Aby się nie trudzić historią i sztuką, pątnik wykrzykuje w zachwycie: „Któż wypisze inne miejsca święte i relikwije!... Krótko się załatwia z pałacami, gdzie wszystko „haniebnie piękne” i tak konkluduje: „Innych osobliwości nie wypisuję, dość wyrazić tymi słowy: nie ma rozkoszy nad rozkosze rzymskie”. Dłużej zajmuje się pielgrzym i pisarz winem, którego widział kuf 80, „w grotach stojącego tego-rocznego i wszystkie próbowałem, przyznając, że arcydobre różnego gatunku”. Inni pisarze polscy, zabawiwszy się w Rzymie do syta, opisują zawsze potem jego dobre strony z zastrzeżeniem, że dzieją się tam także rzeczy, „których u nas uczciwe serce krom zgorzienia cierpieć nie może” (Jakub Górski), i że niektórzy Włosi „mają łotrowskie obyczaje, których nie przypominam” (Hieronim Baliński). Poseł Leszczyńskiego, ksiądz Andrzej Żaluski nie wahał się nawet napisać:

Do Rzymu zwykle chodzą ludzie po odpusty,
Przeciwnie bytność rzymska grzech mój i disgusty
Przynosi... („Roma non Amor”).

Przesada, przesada... Ale, że dobrze się w Rzymie zawsze żyło, to prawda. Najlepszy obraz życia rzymskiego daje nam ksiądz Pstrokoński (r. 1768). Oto z książki Loreta wypisan: cytacje pamiętników Pstrokońskiego: „Chcę sobie zrobić z rodaka-

mi kompanią? Znajdę u zamówionego sobie oto traktyjera prześliczny, dostatni traktament z winem, na każdą osobę po paolów trzy, które właściwie tylko dwa tyńfy polskie czynią. Gdzież tego dokaże w mojej ojczyźnie? „Najlepsze dla nas Polaków z powiatu papieskiego d'Orvieto, wypili go u mnie Polacy i poniekąd Włochy przez trzy kwartały na 200 butelek”. (Wcale nie tak groźnie!). Podróżni mogą się zdaniem pamiętnikarza żywić bez rozboju, „uczciwy wojażer, choć niedostatni, znajdzie po traktyjerniach za mały grosz zieleniznę, zdrowe po ulicach arbuzy, kasztany prażone, tudzież wszelkiego gatunku owoce. Tak się oszczędny za liche grosz utrzymać może”. (O ile od zielenizny nie zmienia się w królika). „Jest coś sympatycznego w Rzymianach ku Polakom”, „defektów nie cenzurują”, a „o pielgrzymie Polaku pijanym nie mówią, że to Polak, ale że Niemiec, Tedesco ubriaco”.

„Stąd hołdujący Bacchusowej sprawie
Nie są lubieni germańscy młodzieńce”.

(Klemens Janicki Elegia VII ks. 1 w tłum. Syrokomli).

Maciej Rywocki, ochmistrz synów wojewody Kryńskiego, też się wielce dziwował zwiedzanemu Rzymowi i oto co napisał o Kapitolu: „W pośrodku stoi koń z mosiądzu, na niem chłop siedzi we zbroi, wszytek pozłocisty. Powiedziano nam, że cesarz Vespasianus dał się ulać na koniu...” (Czubek „Księgi peregrynackie 1584-1587”). Ulał się chyba nie chłop pozłocisty, ale ochmistrz, który z Marka Aurelego zrobił Vespasianusa.

Dopiero nasi starsi koledzy z legionów Dąbrowskiego musieli w Rzymie klepać biedę i mimo wspaniałej dyscypliny i nawet przykładowego rozstrzelania legionisty na Piazza del Popolo, kasztany już wtedy się stały przyczyną złego. Zdarzało się że przekupce ukradł ten i ów legionista garść kasztanów (a żołdu wtedy najczęściej nie płacono), więc tłum począł rychło szemrać o złodziejstwie Polaków. W osterii „Pod dzwonem” („della Campana”) nie zapłacili legionieści rachunku za wino i pobili szynkarza. Dziś już za późno regulować rachunek, bo osteria „Pod dzwonem” nie

istnieje. Głodowali też liczni w Rzymie studenci polscy, bo to ich przywilej odwieczny, a pierwsi bracia Zmartwychwstańcy z O. Semenenką próbowali się żywić wyłącznie ryżem.

Juliusz Słowacki, Włoch dobry znawca, nie był, jak chce historia literatury, serafinkiem. Istotną częścią składową geniuszu jest humor, a Słowacki był jednym z najprzedniejszych polskich humorystów. Pamiętając o tym trzeba czytać jego listy, gdzie byroniczne i romantyczne bóle i smutki są często satyrycznym pozorem. Dobrze jest więc przyjrzeć się życiu Włoch, mając Słowackiego za przewodnika, po tym powiedzmy czyśćcu.

Klimat Italii sprawił, że tu bardziej, niż w reszcie Europy, życie płynie ulicami. Powietrze Rzymu oprócz pierwiastka *historicum* zawiera w sobie inne jeszcze składniki. Dla jednych są to jakieś wapory, na które narzekał n.p. stałe ojciec Marysieńki, przeżywając tu swą drugą młodość w wieku od 90 do 100 lat. Dla drugich słodczy, przypominająca ryż *alla milanese*. Tak sobie je chwalił rosyjski pisarz Gogol. Słowacki był najbliższy gustom naszego pokolenia. Pisał bowiem: „Jak dziwnie powietrze włoskie działa na moje zmysły, tego ci opisać nie mogę. Mam tysiąc zachceń, tysiąc wielkich podlotów do nieba...”. A niebo? Każde dziecko zna wiersz:

Te państwa niebo włoskie, jak o niem słyszałem,
Błękitne, czyste, wszak to jak zamarzła woda!
Czyż nie piękniejsze stokroć wiatr i niepogoda?

A znany nam już chwalca powietrza włoskiego Gogol obdarzył potomność również sądem o niebie Italii. Właśnie północne niebo wydaje się mu monotonne i szare, a włoskie błękitne, pełne światła, złote, turkusowe. Najlepiej rozstrzygnąć tę sprawę o zachodzie słońca w Pincio. Coś z tą zamarzlą wodą nie wychodzi. I drzewa tu nie takie znów ułomne, jak w trzeciej księdze „Pana Tadeusza”.

Nasi rodacy lubią przesadzić. Sylka Januszewska, towarzyszka włoskich wczasów Słowackiego, przypisując się w liście do jego matki wyraża opinię, że „Włochy dobrze widzieć, (ale) zamiesz-

kać w nich mało kogo weźmie chęć, bo z innych względów kraj nie bardzo miły". Dlaczego? Któż bo odgadnie kobietę? Może dlatego, że jak z dalszej części listu wynika, pani boi się, że ją „cholera udusi”. Cholera wie... Bo, jak tu pogodzić dwa polskie sądy: Mikołaja Smieszkowica (nomen omēn), że klimat jest przyczyną dowcipu Włochów i Słowackiego, że „Włochy są antyimaginacyjną krainą”? Ejże, czy to nie „powietrze”?

Są miejsca nacechowane przeznaczeniem. Trafiają do nich ludzie pokrewnych duchowych przekrojów albo tych samych narodowości. Tak Polacy odwiecznie skupiali się w rejonie Piazza di Spagna i via del Babuino. A Słowacki gdzie chodził na kawę? Tam oczywiście, gdzie Mickiewicz i gdzie dziś jest w liliach i obłokach jego portret: do Cafè Greco. Wyjdziemy na razie z tej kawiarni, by spojrzeć na schody i kwiaty na Piazza del Popolo, a potem wrócić pod portret Mickiewicza. Do żywych pod nim ludzi.

Żywi ludzie? Życie historyczne, życie przeszłych pokoleń, to tylko zmiana kostiumów teatralnych. Zmienne są godziny i miejsca widowisk, zmienne stroje i maski, ale nie zmieniają się dusze aktorów, gdy już zrzucą ze siebie kostiumy po grze. W kawiarni Greco niewiele zmieniły się także dekoracje. Grek Mikołaj zbyt dobrze znał ludzi, aby dla mody na kawę pozdejmować butelki z winem i słynną tu Marsalą z pólek starożytnej Trattorii pod Barką (od pobliskiej barki Berniniego na Placu Hiszpańskim) przy ulicy Condotti. Wystarczy, że teatr życia grał tu odtąd pod nową nazwą „Cafè Greco”. Na prawdziwej scenie nie grywają takich sztuk. Za długie są, za nudne, diablo skomplikowane, przeczą wszystkim zasadom porządku dramatycznego. Mimo, że w głównych rolach występowali tu: Byron, Shelley, Keats, Goethe, Mickiewicz, Norwid, Twain, Gogol, Stendhal, Baudelaire, Carducci, France, Wagner, Gounod, Bizet, Berlioz, Canova, Thorwaldsen, Siemiradzki i jeszcze tyle wielkości, aż do bólu głowy! Piękne by były „Dziady” Europy w kawiarni Greco! Mickiewicz — mówią kroniki kawiarni — przesiadywał tu prawie całe dnie, tworząc swe „płomienne ody, które mu zjednały miano Wiktora Hugo Północy”.

Tu to zapewne w oparach dymu ukuł swą straszną mowę na audiencję u Piusa IX, kiedy potrząsając jego ręką krzyczał: „Wiedz, że Duch Boży mieszka dzisiaj w bluzach paryskiego ludu!” Bywał Słowacki i Cieszkowski. Norwid był tak zadomowionym w Café Greco, że ekspozycję swej nieukończzonej noweli „Ad leones” związał z tą rzymską kawiarnią. W czasach tamtych ośrodkiem lokalu był bilard, wokół którego skupiali się dziennikarze, artyści, poeci i młodzieńcy, wysłani przez rodziców „dla kształcenia się w zapatrywaniu na rzeczy”. Oprócz bilardu i namiętnych dyskusji o sztuce i moralności były i stoły, szkłem zastawione... Sie-miradzki pono nie znosił hołyszów i siadywał przy stoliku tylko z takimi, których pochodzenie jasno się tłumaczyło almanachem gotajskim. Pozował też gdzieś w pobliżu do rzeźby Jowisza olimpijskiego (Jowisz był synem Ziemi — ciekawe, czy ziemia ma przodków w almanachu gotajskim). Potem obiegła Greco dynastia Styków. I Gierymski i Wygrzywalski i Przybyszewski i Żeromski i Kasprowicz. Ba, od roku 1899 była tu stała czytelnia i biblioteka. Odkąd istnieją książki pamiątkowe Greco, odciskały się w nich palce polskiej historii. Przede wszystkim ciągle przewijało się przez Italię jakieś wojsko polskie. Od roku 1917 wzmagają się te peregrynacje wojackie, a każdy oficer czy szeregowiec uważa za swój obowiązek nakłonić rodaków do ochotniczego zaciągu. Sierżant, jak się wtedy mówiło, sztabowy, Pietrasiński z delegacji A. P. we Włoszech, pisał w r 1918 o swym przełożonym, Radziwille:

„Choć Włoch z trudnością imię jego wykrztusi,
On z Włocha wszystko wydusił”.

Rzecz, jasna, chodziło o furaż. W ogóle — jak z pamiątek kawiarni Greco wynika — Polacy byli i są narodem chyba najliczniej Rzym odwiedzającym. Greco było przystanią dla zakochanych Włochów, filozofów niemieckich, poetów francuskich, turystów angielskich, rewolucjonistów międzynarodowych (Marks) i żoł-

nierzy polskich. Okrutnie dęte są tych ostatnich podpisy! Zwłaszcza te z lat 1944—6.

Ni.które scenki z Greco mogłyby wejść nawet do dobrego teatru. Jak to S hopenhauer, przygadawszy zebranym w kawiarni Niemcom, iż są najgupszym narodem na świecie, pobity laskami i leżąc z rozbitym nosem na ulicy Condotti, wyrzekał się swej narodowości. Schopenhauer podobno uważał się czasem za Polaka. Inny Niemiec, Victor Wittkowski, uzdał się wierszydło na obraz Mickiewicza w Iliach. Jeszcze inny przekazał swemu narodowi zwięzłą zachętę:

„Der Kaffee in dem Café Grec
Den Katzenjammer jaget weg”.

Al: wyjdźmy już z Greco! Szczebioty par włoskich stają się zanadto gorące. Och, kochliwy naród! Nie trzeba sądzić, że pisarze i artyści trzymali się w Rzymie uparcie Marsali i kawy u Greka. W Rzymie, jak zapewnia kardynał Cesarini w „Beatum scelus” Szczuckiej, „...nigdzie, nawet na greckim Olimpie, nie ma tyle demonów na pokuszenie wódących, co tutaj”. Dziedzice Greka postawili na konika historii. Inne kawiarnie, sale da tè, restauracje, bary, rosticcerie, trattorie, osterie, pizzerie, bottiglierie, tawerny, botteggi mniej o to dbały. Ostateczne gdzieś ludzie muszą jeść, pić i przesadywać w knajpach. Żromski podobno bywał często w Greco. Gdy jednak sięgnąć do jego mało znanego „Dziennika podróży”, innych się tam odnajdzie ślad wypraw. Pod datą 18.IV.1907 zapisał: „W nocy knajpa w Tre Ladroni. Przyjechał Kasprowicz, był Wygrzywalski, Czech Brnbaum historyk, Sinko filolog, Pankiewicz rzeźbiarz. Witkiewicz, p. Lasocka. Wygrzywalska. Śpiewał ślepy gitarzysta — „Jeszcze Polska nie zginęła” — i włoskie pieśni — „Marie” i inne. Kasprowicz się śmiertelnie ululał. Po pijanemu rozgadał się o nowym utworze „Marho’t”, który napisał. O 2 w nocy do kawiarni Casiano. Eskapada”. Zaledwie cztery dni potem towarzystwo wybrało się na Palatyn, aby tam rozkoszować się recytacjami „Od barbarzyńskich” Carduc-

ciego. Recytowali Kasprowicz, Birnbaum, Sinko i inni. Wrażenie było cudowne. Tak to wygląda zawsze życie między ustami a brzegiem pucharu. „Kto by chciał — mówi Mikołaj Rej — liczyć ony Samsony, ony Aleksandry, ony Baltazary, ony Herkulesy. Wszystko to pijaństwo abo białeślówki poraziło”.

Tre Ladroni, to jest ulica Trzech Łotrów. Gdyby człowiek spadł z nieba w którymkolwiek punkcie Rzymu, nie łatwo by się zdecydował wybrać jakiś kierunek. Stałby pewnie jak dziecko z podniesioną głową, dziwiąc się temu, co go otacza. Gogol był zdania, że Rzymu żał opuścić nawet na minutę. „Można się zakochać w śmierci, myśląc w jak słodkim miejscu będzie się pogrzebanym” — pisał o grobowcu Shelleya John Keats. Miasta mają swoje ogniska, do których przychodzą się grzać oczy i serca i od których rozechodzą się strugi ciepła po ulicach. Każde ognisko ma swych kapłanów i wyznawców. Świata poza nim nie widzą. W Rzymie co najmniej do końca XIX wieku uchodziło za zły ton wychodzić poza swą dzielnicę (rione). Madonny, oświetlone lampkami na rogach ulic, tak jak w Neapolu Święci, strzegły swoich borghese. Większość Zatybrzan nie przekroczyła do końca XIX stulecia rzeki, a i dziś jest zapewne wielu takich. Uważają się za potomków dawnych Rzymian i nie żenią się z kobietami zza rzeki. O mieszkańcach drugiej strony mówią, że to „forestiere” (obcokrajowcy), coś jak nasi Słazacy, gdy mówią o innych Polakach, że to górale albo górale, gdy innych Polaków nazywają Lachami.

Srodek świata chrześcijańskiego znajduje się w sklepieniu kościoła św. Piotra, gdzie wypisane są słowa: „tu es Petrus at super hanc petram aedificabo Ecclesiam meam”. Centrum Rzymu, jego brązowym sercem jest Corso. Odcinek, ograniczony dzisiejszymi placami Venezia i Popolo, to jest właśnie główny nurt rzeki Rzymu. Tędy płynęły orszaki papieży, cesarzy, królów, książąt, poselskie, tędy tętniły poszostne karety, tu na się najeżdżały wyzywająco, aby zaświecić sobie w oczy swą dumą rodową, tędy płynęły słynne korowody karnawału rzymskiego, tu wychodzili i wychodzą mieszczenie i mieszczanki, aby pokazać się i ujrzyć się wz-

jemnie w najwykwintniejszych, na jakie ich stać, strojach. Tędy przez Porta del Popolo wkraczały na Kapitol Legiony Dąbrowskiego. Kiedyś Corso, biegnące pobok Pola Marsowego, nazywało się Via Lata. Papiież Aleksander VII wyprostował je, poszerzył, a nade wszystko oczyścił z bud i przybudówek. Po bokach Corsa skamieniały pałace Ruspoli, Verospi, Sciarra, Doria, kościoły San Carlo, San Lorenzo in Lucina, S. Marcello, S. Maria in Via Lata, Jezuickie Collegio Romano, Kolumna Antoniusza, dziś z świętym Pawłem na szczycie. Do czasów poprzedniej wojny w rozkładzie dziennym Rzymian, był dwugodzinny spacer po Corso, latem od godziny 5 do 7 po południu, zimą od 4 do 6. Spacer, to bardzo ważne zajęcie w Rzymie. Włosi mają nieznane nam życzenie: „*buon passeggio*”. *Passeggio* zresztą niekoniecznie odbywa się pieszo. Może być dryndą, czy jak się w Krakowie mówi fiakrem. Tu się to nazywa *botticella* albo *carrozzella*. *Passeggio*, to także wysiadki na słońcu — z dzieckiem, z robótką, z książką lub dla sztuk, jakich człowiek dokonuje mówiąc. Wiele jest miejsc do flirtu ze słońcem w Rzymie. Pierwszym są Schody Hiszpańskie. „Plac Hiszpański — pisze Norwid — szerokie schody, we dwa skrzydła rozwiewające się i podrywające na Monte Pincio, jak gdyby z bruku ogromny jaki, bajeczny ptak chciał wzlecieć i oczekuje tylko, aż się na piórach jego ludzie ugrupują... Plac ten i te schody stanowią forum modelów, to odpoczywających, to oczekujących na zajęcie...” („*Ad leones*”). Na górze placu pod kościołem Trójcy Gór grupują się kwiaty ludzi: bławaty i fiołki dzieci, gencjany i mimozy dziewcząt, kamelie dojrzałych kobiet, nieśmiertelniki starsuszków. A u spodu placu jest targ kwiatny. W Rzymie kwitną kwiaty przez cały rok. Na przekór naturze innych stron — najpiękniejsze w zimie. Matce Boskiej, która strzeże Placu z wysokiej kolumny, hołd kwiatny składa się w grudniu. Ciśnie się pod stopy Panny Marii lud rzymski, aby różami, goździkami, mimosą, lewkoniami, narcyzami, astrami, bzami i innym kwieciami z Placu Hiszpańskiego zbudować most dla łaski z niebios. W roku 1945

zabrzmiął stąd śpiew: „O Panie, któryś jest na niebie, wyciągnij sprawiedliwą dłoń”.

Zresztą kwiaty sprzedaje się w Rzymie co krok. O palmę pierwszeństwa idą targi kwietne na Placu Hiszpańskim i na starożytnym Campo di Fiori, gdzie był spalony Giordano Bruno. Pewien gatunek róż nazywa się „Gloria di Roma”.

Plac Hiszpański, to też ognisko cudzoziemców w świeckim Rzymie. Hiszpanie stąd oceniali męstwo narodów — ze swej ambasady rzymskiej i ze swego terytorium samorządnego, strzeżonego przez hiszpańską policję. Gniazdo swe uwiły tu orły brytyjskiego geniuszu — Byron, Shelley i Keats. Kołowały te orły długo nad miastem i spadły tu — na Plac Hiszpański. I ten, który w Rzymie widział miasto duszy i matkę umarłych imperiów i ten, „którego imię pisane było na wodzie”, „serce serc”, ów którego porównywano z Chopinem w liryce, a obu z łabędziami na głębi. Jeżeli miłość się zgubi wśród świata, nie ma balsamu dobroczynniejszego nad wiersz „Good-night” Shelleya. Na Placu Hiszpańskim i w pobliżu mieszkali zawsze Polacy po lokandach, nazywanych z angielska. Tu gdzieś popasał Krasicki, bo nie odpowiadało mu Kolegium polskie św. Stanisława, brudne, ciasne i zamykane o zmierzchu.

Słowacki zatrzymał się niedaleko stąd, przy Babuino (ulica Matpki). Babuino jest ulicą antykwarni, doroteów i galerii obrazów. Tak było od wieków. Pobliska ulica Margutta pozostała po dzień siedliskiem pracowni malarskich cudzoziemców. Corso i Plac Hiszpański łączą pozornie do siebie podobne, jak liczne rodzeństwo, uliczki, trzymające za ręce dalsze swoje potomstwo. Della Vite (ulica Kiści Winogronowej) z cichymi, ale dystygnowanymi trattoriami, kryjącymi się w grotach, Frattina o ambicjach światowych, wielkowiejskich, jak najstarsza siostra (trattorie nazywają się przy niej barami), Borgognona, głucha, poświęcona życiu wewnętrznemu, Condotti, najlepiej udana, najelegantsza, ozdobiona klejnociami i szminką, oczko w głowie rodziny, delle Carrozze, głucha, wąska, ale intymna (u wylotu usiadła trattoria Castelli Romani), della Croce, odrodzona od reszty, pyskata, tłusta, bogata, lecz o

wygląd niedbała mieszcza, ze sklepami i straganami kapiącymi od mięs, ryb, owoców, knajp, jatek, trzymająca kurczowo za rękę swe zasmarkane dzieci Bocca di Leone i Belsiana, obżarte pomarańczami, jabłkami i kasztanami. Dalej od Babuino biegną już pociotki, uboższe, ale urodziwe, wszystkie owe Vittoria, dei Greci, Gesù e Maria.

Ulice Rzymu, ich historie, oblicze i imiona, to cały romans. Trudno nie mieć historii, gdy się ma imię: Lwiej Paszczy (Bocca di Leone), albo Dwu Jatek (Due Macelli) albo nieprzymierzając Maciory (Scrofa), nie mówiąc już o Kwietnym Polu (Campo di Fiori) lub Górze Złota (Monte d'Oro), Rozkoszy Życia (Cara Vita), Jutrzence (Aurora), Człowieka ze Szpadą (Uomo con la Spada), Czarnych Skleпах (Botteghe Oscure), no i tych wszystkich uliczkach Raków, Węzów, Makaronów, Maśla i innych. Ripetta (Brzeg, Nadbrzeżna) była ulicą alchemików, balwierzy (przednie pijawki z Tybru) i artystów (słynne żywe modelki). Jest też w Rzymie uliczka i zaułek Polaków. Przylegają do Kościoła św. Stanisława i tak samo zapewne wyglądały w czasach, kiedy Rzym się pasjonował zajadłą walką o herby na kościele między zwolennikami Leszczyńskiego i Sasa. Można na ulicach Rzymu stanąć oko w oko z różnymi dziwami. To jakiś spróchniały ząb murów sprzed 25 wieków, to olbrzymia noga niewiadomego posągu, obalona kolumna, to fontanna, która ma wyobrażać Lutra z beczką (na Via Lata), to wieża, na szczyt której uciekła ongiś małpa z porwanym dzieckiem (della Scimmia) a potem jako wotum zapalono na niej wieczystą lampę, to tors posągu, który jest symbolem rzymskiej satyry. Nazywa się Pasquino i od niepamięci wolno było na nim przyklejać dowcipy i wierszowane satyry polityczne — prawdziwy diament demokracji. Mnich jakiś całe życie układał przewodnik po Rzymie — kiedy, którędy, w jakiej porze dnia i roku można chodzić w cieniu. Można przejść cały Rzym, nie wychylając się na słońce. Można chodzić po mieście, jak w lesie. Polować jak myśliwiec na stworzenia sztuki. Dwa są szczególnie miejsca w Rzymie, których czarowi oprzeć się nie można. Mówią, że pełnia księżyca

o północy w Colosseum zapala zawsze miłość: westchnieniem z drugiego miejsca zakończy się ten rozdział.

Nie zmarnowali Włosi daru języka. Rzymianie mają dialekt własny, *romanesco*. Twórcą bogatej już dziś literatury w tej pysznej i obrazowej gwarze jest Joachim Belli (1791-1863), niegdyś sekretarz księcia Poniatowskiego, który dał początek do dziś żyjącej włoskiej gałęzi Poniatowskich. Ulubioną formą poety i jego następców był i jest sonet, w którym ukazuje się urodę Rzymu, scenki mieszczańskie i satyryczne żądla. Gogol był zdania, że od czytania sonetów *romanesco* odchodzi ból głowy. Belli i jego następcy używali czasem formy swych sonetów jako satyry politycznej. Istnieje kilkanaście sonetów, ujmujących się za sprawą polską przeciw carowi i Rosjanom, m. in. jeden na odwiedzin y cara na Sycylii, drugi na zniesienie polskiego konfesjonau w kościele św. Piotra.

Dziś poezja *romanesca* odżyła w formie literackich efemeryd. Malarzem mieszczańskim w stylu *romanesco* był Pinelli, a w wieku XVIII niedoceniony Polak Tadeusz Kuntze, dekorator Castel Gandolfo, willi Borghese i kościoła św. Stanisława. Pietro Scarpa jest autorem studiów o życiu mieszczan i jego stylu „*romanesco*”.

Literatura straganowa jest międzynarodowa tematycznie. Tylko, że w Rzymie jest tych straganów z książkami niezmiernie dużo. Tyle, ile wózków (*carrettini*) z kwiatami. Można tu nabyć: „*Barba Nera in Foligno*”, „*Amore fra i polli*”, „*Le donne fantastich*”, i inne podniety niezrealizowanych tęsknot. Za to cóż za wspaniałość w wielkich księgarniach! Sztuka piękna drukarstwa nie stoi w Italii za innymi sztukami pięknymi.

Włosi, a zwłaszcza Włoszki czują nieugaszoną potrzebę mówienia wiele. Językoznawcy przy tym nie uwzględniają w języku elementu szybkości, tempa. Otóż Włoch mówi znacznie szybciej, niż Polak. Nawiasem mówiąc, kopiąc w porównaniach języków polskiego i włoskiego, dochodzi się do wniosku, że jest to więcej, niż wspólnota indoeuropejska. Bardzo ciekawych wyrazów dostarczyli nam Włosi. Nie chodzi o oklepne terminy muzyczne i o wi rydarz jarzynowo-owocowy i o te oderwane wyrazy, które zrobiły

karierę, jak serie, tempo, brawo, bagatela, basta, ale któż się od razu nie dopatrzy ślimaka w limacha, łazanek w lazzagne, zbira w sbirro (policjant watykański), policyjnych terminów badare, spiegare w odpowiednikach polskich, rudery w rudero, ba — podhalańskiego boćkania w italskim bacciare, a bandziocha w pancia? Włoskie jest też kolano, krosta, fałda, furora, pompa, bufon, birbant, kaprawy, kanalia; ludowe radyski (rzodkiewka) i faszyna.

Teatralność Włochów, to ograna melodia w opisach tego kraju. „Wszystko we Włoszech mimo woli pozuje jakby do obrazu” (Sienkiewicz). Kobiety tak się stylizują na arcydzieła sztuki, że w Rzymie można nagle spotkać na ulicy Fornarinę, Giocondę lub Amor profano Tycjana. Tak samo uczesane, w tych samych strojach i kolorach, gotowe odegrać te same role, co ich starsze siostrzyce z portretów. I miłą skłonność do ukazywania kształtów wzięty z rzeźb i obrazów. Za czym teatralność gestu, a zwłaszcza tyrady, tyrady! Jedno tylko ale, Sienkiewicz słyszał we Włoszech „drganie słodkiego języka w ustach kobiecych”. Szczęśliwiec! Bo co innego śpiew, a co innego chrapliwa modulacja mowy. E!... Chrapać mówiąc należy do dobrego tonu u Włosek. O śpiewie Włochów pisał Słowacki, że „innej wielkości nie znają na ziemi, tylko wielkość gardła”. Bravo (dzielny) nie jest jakiś tam wojak, ale śpiewak, muzyk lub aktor. Ośrodkiem zabawy jest zawsze popis śpiewaczy, a choć na każdej ulicy Rzymu jest co najmniej kilku tegich śpiewaków, uczęszczanie na opery da się chyba tylko porównać z frekwencją na walkach byków w Hiszpanii. Kiedy śpiewa Beniamino Gigli, Włosi dostają spazmów, a z łóż padają gromy na tych, którzy go oskarżali: „abbasso i calunniatori!” Po każdej arii robi się błyskawiczny wiec, a Gigli dziękuje chyba wtedy stwórcy, że urodził się Włochem.

Stanisław Staszic był zdania, że nawet śpiew kościelny jest dla Włochów rodzajem opery. „Włoch — pisał w „Dzienniku podróży” pod datą 8 lipca 1790 — nuci sobie Kyrielejson, Te Deum, Gloria, jak inną piosnkę z opery. Jak w jednym, tak w drugim, idzie za czuciem zmyślnym i imaginacją zwyczajną”.

W ostatniej ćwierci wieku XIX Rzym przeżył wielkie misteria muzyczne, dostępne wszystkim Rzymianom, na placu Kolumny (Piazza Colonna). Koncertowały tu letnimi wieczorami najlepsze orkiestry miasta, dając przede wszystkim program operowy. Tu się odbywały pierwsze koncerty słynnych potem oper. Mazur kończył każdy wieczór. Dyrygentem wszystkich zespołów był wielki muzyk i popularyzator, bożyszcze Rzymu, Neapolitańczyk Alessandro Vessella. Ale Rzymianie nie musieli się uczyć dopiero od Vesselli smaku muzycznego. Kiedy po raz pierwszy wystąpił on z Wagnerem (w roku 1905), wówczas trochę ze względów patriotycznych ale więcej z muzycznych skończyło się na rozruchach, w których byli nawet ciężej ranni, a Vesselę większa część audytorium wygwizdała.

Prawa nowoczesnego życia spędziły z placu Kolumny Vesselę i jego gorących wyznawców. Przenieśli się do zamkniętych sal koncertowych, do „Adriano”, „Quirino”, „Argentina” i „Valle”. Teatrni bowiem dramatycznego Rzym nie lubi, a całą miłość do sceny zamyka w operze. Opera sezonu letniego w termach Karakalli jest zjawiskiem, jakie istnieć może tylko w klimacie najżarliwszej miłości do sztuki. Ogląda te widowiska operowe (tak, widowiska) cały Rzym.

Teatrów różnych typów jest we Włoszech ilość niezliczona. Najwięcej na ulicach pod gołym niebem. Jest w tych błazeństwach jakiś pociągający urok, skoro nawet Słowacki w Neapolu gardził operą i komedią, a zachwycił się „małymi sztuczkami dla ludu w neapolitańskim dialekcie”, na które uczęszczało dobre towarzystwo i „wszystko się śmiało”, a sam poeta „prześmiewał się czasem nad miarę”. Najpopularniejszy jest „teatro dei piccoli” (marionetek), gdzie główny dowcip polega na straszliwym biciu się kijami. Groteska rysunkowa na filmie ma swe źródło w teatrze marionetkowym. W ludniejszych punktach Rzymu produkują się wszelacy komedianci i rybałci: kobziarze abruzzijscy w wilczych skórach, ślepi śpiewacy, osiłki, dowcipnisie, poeci ludowi. Są to nie tylko pokazy teatralne, ale i lekcje dobrego wychowania i patriotyzmu.

„Jestem Genuńczykiem — peroruje np. taki siłacz — i nie potrzebuję się tego wstydzić, ale w Rzymie nie ma dobrego wychowania, bo się zanadto ciśnięcie”. Publiczność, jak pod wpływem czarodziejskim, w oka mgnieniu się rozstępuje.

Nie ma bodajże dnia, w którym by w jakimś zakątku Rzymu nie fetowano jakiegoś święta lub obchodu. Każda dzielnica, każda nawet uliczka ma swych patronów, swe wydarzenia tradycyjne, rocznice; „festa di rione” to jedna z cech Rzymu najbardziej uderzających. Karnawał, świetnie niegdyś obchodzony maskaradą na Corso i Piazza Venezia, donkiszotowskim pochodem masek i konnymi wyścigami od Piazza del Popolo do Piazza Venezia, dziś zepchnięty został do sal balowych. Ulubionymi melodiami karnawału były pólki i mazurki. Na Piazza Navona, w wigilię Epifanii (w gwarze *romanesco* — Befana), to jest Trzech Króli, którzy spełniają słusznie w Italii rolę naszego św. Mikołaja, począwszy od Betlejem, odbywa się powszechna zabawa.

Ale największym i najradośniejszym z tych ludowych obchodów jest wigilia św. Jana Chrzciciela. W noc świętojańską cieszą się Rzymianie na Zatybrzu, artyści na Via Margutta, lecz nic nie dorówna masie ludzkiej na ogromnym obszarze od San Giovanni in Laterano aż po Santa Maria Maggiore z jednej i po kampanię z drugiej strony. Goździk (*garofano*) jest tego dnia znakiem radości. Sobótki palone są jak u nas. Potrawą świętojańską są ślimaki i pizza. Miłość ma prawo tego wieczora uchylić swej zasłony.

Sztuka teatralna jest też dźwignią handlu ulicznego. Jak można normalnie wcisnąć pastę żmijową na reumatyzm? Oto stawia się za straganem mówcę, który trzyma cały wykład przyrodniczy i demonstrować okazy. „Tu jest wąż, który się wylął z jaj, a tu żmija. Czy także z jajek? O nie, żmija rodzi się żywo, a zaraz po urodzeniu chce kąsać matkę, która dlatego załatwiwszy się, szybko ucieka. I stąd do dziewczyny nawet ładnej, ale złej, mówimy: „Tu sei vipera”. Rzymski targ — to niezgłębiona puszcz. Przyjrząc mu się najlepiej na Piazza Vittorio, pod dworcem kolejowym i na Via del Lavatore. Reja by trzeba, aby opisać przepych tego rynku.

„Więc pozłoty rozliczne, ony kury pozłociste, ony orły, ony zające, a potrawa w pośrodku za dyabła stoi...”. Miałby nad czym mlaśkać główny smakosz polskiej literatury na widok onych ryb rozlicznych, miąższych sepii, rybek drobnych, krabów gamberi, calamaretti, onych dentice i spigole kolorowych, sol rozpłaszczonych, langust wilgachnych, raczków krotochwilnych, ślimaków źle pachnących, ptaków wszelkich, jakie w raju żyły. Nie jedzą tylko Włosi wróble i jaskółek, choć i wróble ostatnio są „in bounds”. A mięsa i wędliny wiejskie! A chleb na kromki i z mięsem, a panini con prosciutto, a pączki z Marsalą a sery, których Włosi mają tysiąc rodzajów, owe groviery, gorgonzole, pastorelle, pecorina. I zielska wszelakiego odmian setki! A orzechy, orzeszki, fistaszki, kasztany, a melony, kaktusy, chachi, figi, pomarańcze. A bób. A dymiące castagnaccia, fasole, potrawy z oliwek, polenty słodkie i obojętne... „Kto może jeść tę polentę, ten musi być przede wszystkim zdrowym. Słaby musi umrzeć, bo jej nie strawi” (Żeromski). Sprzedawcy arbużów i „bibite” są zapewne najliczniejsi. I ponad wszystkim głos, teatr i przesada. „Compro tutto” („kupuję wszystko”) — oto symbol straganu rzymskiego.

Wielkie to uproszczenie mówić, że Włosi żywią się sałatką.

„Będzie żył, póki ma frutti di mare.

Niebo błękitne i żółty makaron”. (Słowacki, „Podróż do Ziemi Świętej”).

O tym można żyć, jak mówią Rosjanie, ale ... Ale Włosi mają też przysłowie: „L'animale si pasce, l'uomo mangia, soltanto l'uomo intelligente sa mangiare” („Zwierzę się pasie, człowiek je, lecz tylko inteligentny człowiek wie, co jeść”). Jest przewodnik gastronomiczny po Rzymie, a dystygowane wydawnictwo angielskie „Wieczny Rzym” („Rome the eternal”) kończy się długim rozdziałem „Dzień w Rzymie”, który polega na zwiedzaniu miejsc, gdzie się je i pije. Nasz cherubinek, Julio Słowacki wyznaje, że miał we Włoszech „apetyt ogara” i „co dnia władze imaginacyjne przygasał i przytłumiał tegim bifstekiem”, a w jednym liście do matki z rzeczy ciekawych donosi o zaproszeniu na pączki. Smak to jest

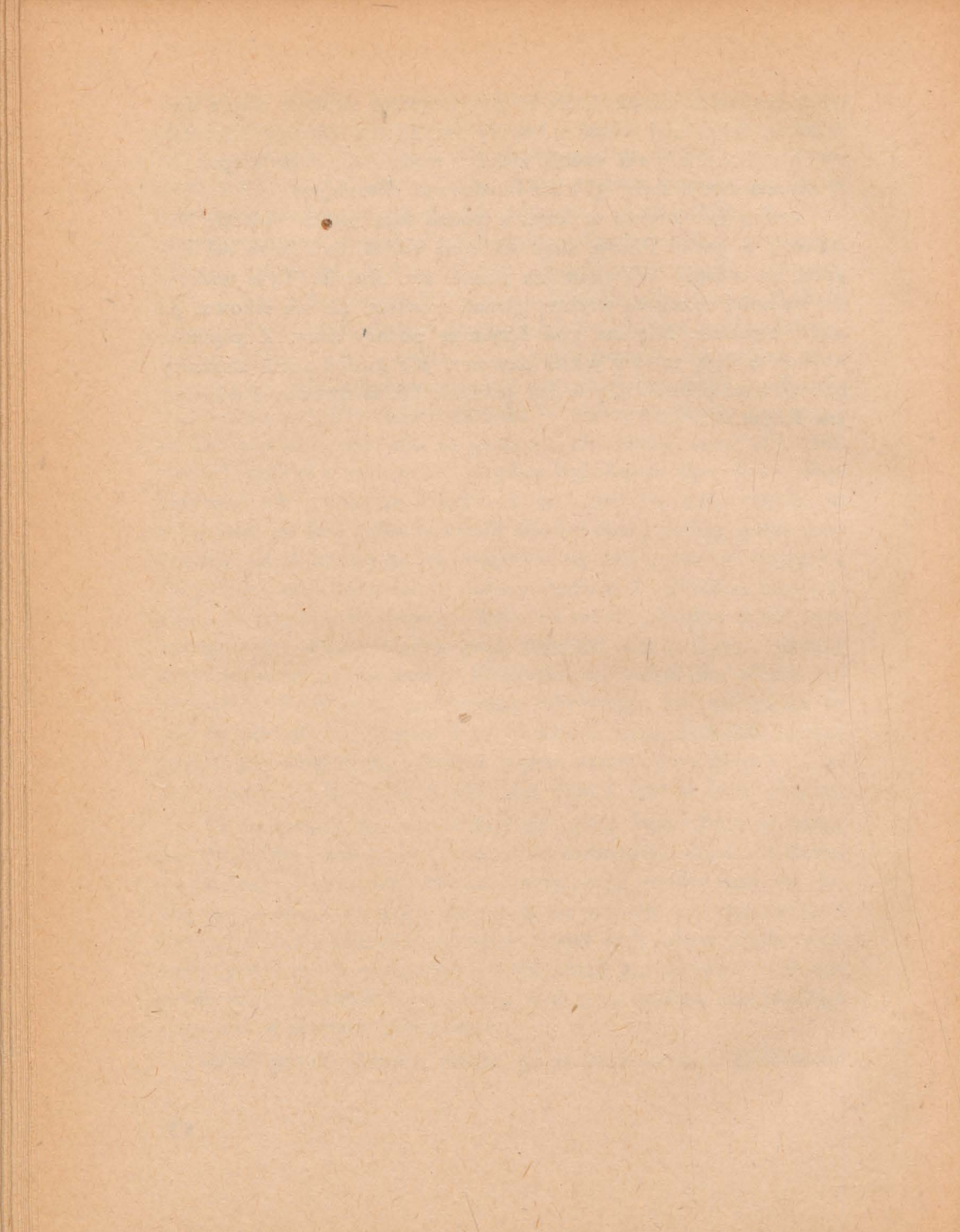
wyobrażenia zmysłu. Malarz ma wysubtelniony zmysł wzroku, muzyk słuchu, a smakosz podniebienia. Jedzenie i picie, to koncert smaku, poezja podniebienia. Nie chodzi o pełny żołądek, ale o rozkosze przelyku. Na pewno by ta sztuka zyskała większe uznanie u ludzkości, gdyby nie jej skutki. „A wszakoż ci potyją, aleć iście nie przyrodzoną tłustością”. Chociaż właściwie sztuka faworyzuje obfitość kształtów. Barok, którego stolicą jest Rzym — uśmiech życia — cóż więcej mówić? Miłe są i obfite kształty postaci Michała Anioła, Tycjana, Rafaela, Correggia. Nawet dzieci i aniołki Domenichina, Filippa Lippi, Belliniego, Francii, Lorenza di Credi są bardzo pulchniutkie. Ideał smakowitej rzymskiej mieszczki, to Fornarina ze swą wstydlivością rozwódki. Takie są naprawdę Rzymianki. Dopiero tu się rozumie, co to znaczą rzymskiej poezji „braccia molli” (miękkie ramiona). „Nigdzie podobnych figurek — pisze Słowacki nie widziałem i wybrałbym łatwo sto dziewczątek, w które żeby mi Bóg tylko pozwolił włożyć duszę podług mego upodobania, to w każdej ze stu mógłbym się dziś zakochać szalenie”. Na jedno jednak tylko liczyć może pielgrzym, a zwłaszcza żołnierz. Już i za czasów Słowackiego było to samo: „Nudzą mnie serca interesowne i głowy bardzo puste tutejszej płci pięknej... Żadnej delikatności uczuć nie znają. Wszystko ma jeden cel: złapać cudzoziemca, jeżeli się da, a wszystko wypływa z jednego źródła, to jest, że osądzili już dawno Włosi w swoim sercu, że każdy cudzoziemiec jest Anglikiem, a wyraz inglese znaczy teraz głupi”. (List do matki z 22.II.1838). Rozkosznie jednak być w Italii głupim.

W trattoriach Rzymu widuje się często koty. Koty są plagą Rzymu. Koty muszą być chyba emisariuszami diabła. Czarne, przymilne, z drwiącymi oczyma symbolizują zwodne kobiety. Jawią się na obrazach, gdzie dzieją się złe sprawy (na obrazie *Cafè Greco* z XVII wieku czai się także czarny kot) lub w złych miejscach, jawią się w męczarniach zmór. Stąd lud nazywa w Polsce każdą wiarę niekatolicką — kocią. Jest tego kociego, szatańskiego pogłowia w Rzymie zatrzęsienie.

Wiele jest w Rzymie miejsc, gdzie serce się syci. Królewskie

szaty majestatu miasta, które niegdyś rządziło światem siłą, a dziś miłością, najpełniej widać z kopuły św. Piotra. Ogrody i fontanny Watykanu ożywia wesoła zieleń i woda dnia dzisiejszego. Historia ma swoje mchy głębsze i sadzawki ciemniejsze.

Jedno jest miejsce w Rzymie ponad inne jeszcze: placyk Napoleona w parku Pincio, skąd ściele się widok na Piazza del Popolo, na odległy Watykan, na zamek św. Anioła. Tyle wieków chowa anioł miecz do pochwy ponad miastem, ale nie schował go nigdy zupełnie. Nie ma nad Rzymem nocnej ciszy. Z pięciuset kościołów biją zawsze jakieś dzwony, jak kiedyś nocni strażnicy halabardami o bruki. Życie jest jednakie jak te dzwony i wieczne, jak Rzym.



HEJ, WINO, WINO, WINO

Jakież tam mogło być wino w Kanie Galilejskiej? Jużci że nie wielorako podle słodkawe Rishony, ani niezły kwaśny Adomatic, ni całkiem grzeczny Carmel Hock, bo te rodzaje Żydowie przynieśli jako wiano z Europy do ziemi obiecanej w tysiąc dwieście lat po weselu w Kanie. Stąd Rishon przypomina trochę miód, jaki starozakonni sączą w Polsce na święta Pesah, Purim i Szalasów. Judejski Latrun jest produktem piwnic trapistów francuskich, wedle wzorów winorodnej metropolii.

Smakując te zapóźnione gatunki, musi się jak niewierny Tomasz wątpić w wielką uciechę gości w Kanie, gdyby nie cud, który z jakiegoś Rishonu uczynił nektar i małmazję. Nie mógł tego przeboleć przełożony wesela, mówiąc do nowożeńca: „Každy człowiek pierwej daje wino dobre, a gdy sobie podpiją, tedy podlejsze; a tyś dobre wino zachował aż do tego czasu”. Takie to praktyki obowiązywały dwa tysiące lat temu. Jakie jednakże było naprawdę wino galilejskie, dziś zawyrokować nie podobna. Wina z latami tracą swą jakość i zupełnie uzasadniony jest okrzyk Colas Breugnon: „Pijmy, bo któż mi zaręczy, że za lat czterysta wino będzie jeszcze tak dobre, jak dzisiaj”. Jak wszystko na świecie, tak i wino schodzi w dół, kapieje, proletaryzuje się. I wśród win wytwarza się nowa arystokracja.

Nie trzeba cudów wina włoskiemu. Samo ono jest cudem. Księga o włoskim winie mogłaby nosić tytuł: „Gatunki i produkcja cudów”. Kto zaczął ułożyć tę ochotczą pastorałkę, której refren pieni się słowami: „Hej, wino, wino, wino, lepsze niż przedtem było w Kanie Galilejskiej”, trudno dociec, ale to pewna, że poeta zasmakował w jakimś hungaricum („nil vinum nisi hungaricum”)

albo zgoła w winie francuskim lub italskim. Wolał je, niż wino w Kanie.

Zawiódłby się, kto by szukał dziś we Włoszech słynnych starorzemych win klasycznych. Horacjańskie Falerny, Massici i Caecuby, „upłynniające myśli” Mareoticum, nawet tanie Sabinum pozostały pomnikami poezji tak, jak amfory i rzymskie puchary w muzeach starożytnych. Nie zmienili się tylko znawcy win i obyczaje pijackie. Mimo że poszła co nieco naprzód kultura pijacka od Noego (da Noè a noi), który manifestował swój dosyt snem i nagością. Wino w nadmiarze prowadzi zawsze do senności i potrzeby oglądania nagości. Bacchus nie przestał być patronem poszukiwaczy weselszego żywota. Toteż na wsi włoskiej, gdy się dziś chce powiedzieć coś od samego serca, wulgarnie i serdecznie zarazem, powie się: per Bacco! Bo smaki win może się i zmieniły, ale troski ludzkie i sposoby na nie pozostały: „Kogóż po winie będzie gnębić twarde żołnierstwo i ubóstwo? Któż za wami nie pójdzie, ojczyźnie Bacchu i ponętną Wenus?”.

Horacy w całej swojej filozofii i poezji jest przede wszystkim czcicielem wina. Jego pieśni są poematami o winie. Soracte i wichry na morzach nie potrafią przyćmić obrazów upajania się życiem i cudem winnej jagody. Cicho schodzi do piwnic chłopiec i niesie na ramionach grecką amforę. Gdzieś w cienistej altanie, czy rozciągnięty przy kominku, sam sobie popija Horacy, a Thaliacha zachęca, by dobył czteroletniego Sabina:

„Umiej żyć niech ci sporo wina chłopiec leje,
W życiu krótkim na stronę rzuć długą nadzieję!”.

W wierszu horacjańskim słyhać błogi bulgot wina, rozlewanego do kubków, widać pod słońce jego bursztyn i rubiny. A znawca Horacy czuje dumną wyższość swego znawstwa. W tej dziedzinie nie ustąpi nikomu, tu jest mistrzem, tu jego radzić się trzeba. „Będziesz pił cienkie Sabinum w skromnych kubkach, które przedtem, ustało się w ukryciu w greckiej amforze, będziesz pił Caecubum i napój spod prasy Kaleńskiej; ale mnie ani jagody Falerna nie zmo-

gą, ani puchary napoju ze wzgórz Formii". Tak to sobie poeta lekceważy wielkiego Mecenasa. Bo niby wino nie jest dla chamów. „Trzymajcie barbarzyńców z dala od Bacchusa!" „Że poskramia wolę? Nie po co innego piję! Mniej mam okazji do grzechu". Cezar jednak poczytywał trzeźwość barbarzyńców raczej za zaletę. „Wina do siebie importować w ogóle nie pozwalają bo utrzymują, że ono rozmęcza ludzi w pracy i czyni zniewieściałymi". Ale kto wie, czy najbliższym prawdy nie był w kilkanaście lat potem domonichny Francuz Baudelaire, gdy mówił: „Aby zaznać szczęścia, trzeba mieć odwagę połknąć je".

Wino jest krwią ziemi włoskiej. Radość tej ziemi tryska ku niebu fontannami wina. Praca codzienna wyciska z niej chleb i wino. Karnawał życia, osyp kwitnących drzew, puszyste kolory wiosny, rumianość wczesnego dojrzewania, śnieżny szum spienionej strugi i błękit, błękit bez dna plotą wieniec nad Italią. Rzym jak bezcenny, wielki diament rozsiadł się w środku szmaragdów, rubinów, szafirów, nabity w złoty diadem lackich pagórków, które Rzymianie nawywajają Castelli Romani: Frascati, Grottaferata, Marino, Castel Gandolfo, Albano, Ariccia, Genzano, Nemi, Rocca di Papa. Gdy tylko słońce rozpocznie najrańszą z piosenek wiosny, zaczyna się tej ziemi baśń: pstry karnawał, potem błogosławieństwo morza, święto Madonny Róż, wianki „Bożej Miłości", kwiatobranie i wyścielanie dróg kwietnymi kobiercami, festyn poziomek, czereśni (cerase), brzoskwiń, aż wreszcie rok zamyka się gospodarskim i hucznym obchodem winnej jagody, wina. Dzieje się to w październiku, w winne dożynki, wiodące swą nazwę od miesiąca „ottobrate", a rodowód od łatyńskich Dionizjów. Cały Rzym wylega wówczas za rogatki, na Kampanię. I w dzień ten, tak jak na dzień wyboru starorzymskich arcykapłanów, jak na chrześcijańskie Boże Ciało i świętego Piotra w średniowieczu, buchają i tryskają w świeckiej nowożytności fontanny Rzymskich Kasztelów, to zając przezyste wino zamiast wody. Nie ma wody w tym dniu, ale w na wolno czerpać u studzien, ile dusza zapagnie. Nawet w Velletri — Mościskach czy Kłaju rzymskim.

Mieszczanie rzymscy, jak to zawsze mieszczanie, delikatnego podniebienia w przesadzie nie mają. Idealem ich, dumą regionu, niezastąpionymi delicjami, alfą i omegą wykwintu są Castelli Romani i na to nie ma rady. Frascati, Frascatissimo — oto szczyt lubości i basta. Więc też co niedzielę tłum od wczesnego rana dąży od dziesiątek lat z Rzymu ku Frascati. Sam Lucullus i Ciceron upodobali sobie to miejsce, słynne niegdyś Tusculanum, aby korzystać w swych natchnieniach z tutejszych winiarni. Najbardziej to podobno zielone miejsce we Włoszech, najmuzyczniejsze w zieloności tonów, a nazwę swą wywodzi od chat, zbudowanych z gąłczy (frasca).

Do Frascati dojeżdżało się zawsze w powadze i dostojnie. Czasem tylko w ścisku rozległ się nieprzekonywujący głosik: „Regazzi, stateve fermi co' le mani!” (Chłopcy, ręce przy sobie!). W miasteczku towarzystwo wysypywało się i zmierzało żwawo ku oczekującym je źródłom wina o subtelnych zawołaniach: „Cebulka”, „Dobry wieczór”, „Jak się macie”, „Spokój orla”; „Górą nasi”, „Miramare”, „Belvedere”, „Pod Myśliwym”, „Pod Tramwajem”. Dziś większość tej poezji leży w gruzach.

Było o czym mówić przy tym dziwnym sprzecznię, który poszedł w przysłowie. Dwa i pół litra zaledwie i — fiasco! Gęsto padały przysłowia, lubią je bardzo Rzymianie. Mają oni moc przysłów, wypowiedzianych w takt łykania, w rodzaju naszego: „Dobra rzecz nie jest zła, zwłaszcza jak jest dobra” — „Dove si casca, si casca bene” („Jak wpaść, to dobrze”), „Qui mangia poco, mangia sempre” („Kto je mało, ten je zawsze”), „Qui mangia, mangia, qui non mangia, lascia” („Kto je, ten je, kto nie je, zostawia”), „Qui mangia, mangia, qui beve eguale” („Kto je, to jego sprawa... nie pije — i tak zapłaci”). Najpiękniejsze jest jednak przysłowie: „Dio mi protega da qui non beve vino” („Niech Bóg mnie strzeże przed takim, co nie pije wina”). I tak w „secco” lub „pastoso” załamywały się promienie zwolna zachodzącego słońca. W podziemnych, długich piwnicach przy mdłych kagankach szu-

miało nieprzerwaną strugą wino z kadzi i beczek — z botte, barrille tini, tinelli, recipiente do konwi i wiader, stąd do bottiglie, fiasc i fiaschett. Gdy już dostojne rzymskie matrony zaczynały się wzajemnie oblewać haustami Frascati, znaczyło to, że zabawa osiąga swój zenit. To te o ostrych starorzymskich profilach, antracytowych włosach i karminowych ustach córki łatyńskiej rasy — urocze babki i kurki domowych ogników, wiecznie atakowane i wiecznie zwycięskie. Chłód więc lepiej udawać i drwić z miłości radcom, przybyłym do Frascati.

„Gli avvocati
Di Frascati
Son burlati
Dall'amor”.

Melancholijnie więc wypełniały się po raz ostatni fiasci, tro-skliwie otulano ich szyjki papierkiem i żegnano gospodarzy — do następnego tygodnia. Owe niedzielne wyprawy do Frascati nazywają się „bisboccia”, co by mogło odpowiadać naszemu „moczeniu twarzy”.

W pociągu powrotnym kołysały się rytmicznie senne głowy, ręce kurczowo zaciskały fiaski, a cisza władałaby nad przedziałami, gdyby nie gardła, zbyt melodyjnie wciągające powietrze i uparte śpiewy młodszej generacji. Dziś śpiew wyparła polityka.

W Rzymie winiarni dostatek. Są takie, które ilustrują przysłówie, że nos jest dla tabakiery, oświetlone teatralnie, zastawione architekturą naczyń, przepojone wonią perfum, ukarminowane, rozjarzone spojrzeniami kobiet, są przytulne „groty”, cenami przypominające kopalnie soli, jest wreszcie mrówcze pospólstwo winiarni mieszczańskich. Subtelne są różnice ich rodzajów i skali, a próżno o nie radzić się słownika. W albergach i lokandach je się, pije i mieszka. Trattoria, osteria i tawerna, między którymi dziś się już zatracą granica, służą piciu i jedzeniu. Ale i one są od siebie

różne. Tawerna to winiarnia skryta, zwykle w małej izbie, najczęściej w piwnicy lub zakrzaczona pod gołym niebem:

„Dusze poetów zmarłe i przeszłe,
Któreście poznały Elizjum,
Jakież pole lub omszona jaskinia
Lepsze być może nad tawernę pod Syreną”.

(Keats)

Trattoria odpowiada polskiej gospodzie, a na pierwszym miejscu stałoby w niej jedzenie, gdyby nie to, że w Italii wino jest główną potrawą. Osteria mniej już jest wybredna w doborze potraw i przychodzi się do niej głównie na wino. Bliższe jedzeniu są też rosticcerie (z mięsem smażonym i pieczonym, zwykle na oczach gości) i pizzerie, gdzie się zakrapia pizzę neapolitańską i gdzie wielkie powodzenie mają sery. Ta pizza to raczej pozór.

Inaczej bottiglieria i fiaschetteria. To już pijalnie win bez pozorów, przekąsek i wykrętów. Jeżeli gość jest głodny, może mu gospodarz w drodze łaski posłać po ser lub mortadelę. Do bottiglierii, najdłużej w nocy otwartych, nie przychodzi się lekko-myślnie. Bevitoria to też miejsce dla miłośników wina o twardym charakterze i nie widzących niczego poza winem. „Vino e cucina”, jak sama nazwa mówi, jest instytucją pośrednią, unikaną przez znawców. Bettola i bettolino, karczmy, stoją poza bramami Rzymu i trudno, żeby żałowały gościom wina. Podają przeważnie wina własnego wyrobu. Bottega, w średniowieczu po prostu apteka, przeszła taką ewolucję, że dziś już nawet nie jest sklepem, lecz również winiarnią. Pozostał jej z dawnej nazwy wstydlawy welon i dlatego o wiele przyzwoicij jest wybrać się do bottegii, niż do zwyczajnej trattorii, nie mówiąc już o bottiglierii, gdzie i uszom kobiecym niebezpiecznie. Wino oczywiście dostać można wszędzie indziej, w kawiarniach, barach, kioskach z wodą sodową (wermut zwykle się uważać w Italii za rodzaj soku) i w prawie każdym domu prywatnym.

W trattoriach i osteriach odbywają się rodzinne sejmiki, tu

żeglują ku oczom dziewcząt uskrzydłone wyznania, tu przeszywają powietrze pijackie „porca miseria” i „mascalzone”, tu uciśzają się burze małżeńskie i topią się młodzieńcze złudy. Goście przybywają do winiarń najczęściej objuczeni. Kobiety dobywają z koszyczków przygotowane w domu potrawy, a oberżysta stawia prześladłą rodziną wino, chleb i surowy bób. Ten specjał ma ustaloną sławę u włoskiego mieszczaństwa.

Trattoria jest zwykle zarazem mieszkaniem właścicieli, służby, najbliższej rodziny, cyncysbei (przyjaciół domu) i znajomych. Dzieci i inny drobiazg domowy pełzają pod stolami, niemowlęta igrają z wydatną piersią cierpliwych matek. Nim goście nadejdą, przedwcześnie rozwinięta pannica, najstarsza córka patrona, szykuje jadłospis, śliniąc często ołówki i zaczynając od niewatpliwej „pasta asciutta”. Przeważnie zresztą nazywa się ją bardziej poetycznie — tagliatelle, fettuccine albo cappelletti, zależnie od specjalności domu. (Na weselu królowej Bony w Bari podano tak smaczny i długi makaron, że dławili się nim żarłocznicy księża. Stąd nazwa owej pasty — strangolapretti, czyli dławiksięża).

Giuseppe Garibaldi, nim wkroczył do Rzymu, wstąpił sobie na pastę do Filomarina przy Via Salaria i zapisał mu w księdze z włoskim patosem: „Filomarino, twoje makarony są najlepsze w całej Europie”. Brzmi to tak, jakby ktoś powiedział, że najbardziej Italię przypomina Italia.

Marinetti, pragnąc unowocześnić duszę swego narodu, wypisał na swym manifestcie jako jeden z punktów programu działania: „Abbasso paste!” („Precz z makaronem!”). Ale pasta jest częścią składową duszy włoskiej. Dlatego złośliwy świat nazywa Włochów makaroniarzami, a niewinne ciasteczka migdałowe — amaretti, tylko dlatego, że z Włoch pochodzą, nazywają się w Polsce makaronikami. Ucztować po włosku znaczy „pasteggiare” — jeść makaron.

A więc w trattorii pasta, bób i wino. Jeżeli gość zażąda czasem jakiegoś „abbacchio” (kotlet jagnięcy), fritto dorato, bistecca, ragù, flaków (trippa), a choćby nawet „carciofi alla giudia (kar-

czochów w oliwie) lub jakiejś innej odmiany z nieprzeliczonej galerii zielenin, mkną zaraz ku niemu zdziwione dzieci i koty. Gdy się zjawi czarny kot, powinno się przestać pić. Wino jest sercem trattorii, sercem posiłku włoskiego, tętnem charakteru. Mądrze pić umieją Włosi. Bardzo rzadko widuje się pijanych. Nam bo wino służyło do urządzania zabaw, jakich najstarsi Rzymianie nie pamiętają... W Rzymie cudacznie nazywają załanych — diciannove, czyli dziewiętnastkami.

Trattoria dla Rzymian i Włochów w ogóle oznacza schadzkę, rozrywkę, przyjemność, wypoczynek, zdrowie, zabawę, wystawę, miłość. Panuje w tych trattoriach, osteriach, tawernach i bottiglieriach ów niezapomniany duch mieszczański Rzymu, „romanesco”, z jego jedyną rozlewnością, gadatliwością i poufałością, z rzymską gwarą i hierarchią towarzyską, której pierwszą osobą jest właściciel i równy mu „padrone”. Przydomek „padrone” zastępuje imię, nazwisko i tytuł największy. Ci padroni, bywalcy są za pan brat z właścicielami, których mianują po rzymsku „sor” lub „sora”, bratem i siostrą.

Czym były trattorie od wieków dla Rzymian świadczy najdosadniej sława papieża Leona XII, który w roku 1824 odważył się zamknąć wszelkiego rodzaju winiarnie i karczmy, a na pijących nałożył surowe kary. Gdy rychło potem umarł, nikt go nie żałował, a jego następcą, Pius VIII, niezwłocznie zarządzenia uchylił. Tegoż dnia lud rzymski tak pił z radości, że przez jeden dzień wypito więcej, niż przez całe lata zakazane.

Kawaler Alessandro Rufini, przygotowując słownik etymologiczny nazw ulic i placów Rzymu w roku 1850 i nie mogąc sobie poradzić z niektórymi z nich, wziął się na sposób, aby dojść, ich pochodzenia, zapoznając się z nazwaniami i dziejami winiarn i gospód. Począł tedy przebiegać wieczne miasto z kąta w kąt, zaczynając od uliczki św. Agaty i jej osterii „Pod sikawką”. Owocem tej skrupulatnej, badawczej fatygi było dzieło „Notizie storiche alla origine dei nomi di alcune osterie, caffè, alberghi e locande esistenti nella città di Roma”. Wymienia ono w roku 1854: 712

osterii, 29 trattorii, 217 kawiarni, 37 lokand i 40 hoteli na ówczesnych 156 tysięcy mieszkańców Rzymu.

Są wśród nich miejsca sławne, historyczne, ale większość olbrzymia dziś już nie istnieje, jak émy i poczwarki czasu, cała ta amorficzna plejada, rój nazw absurdalnych, fantastycznych, namaszczonych, niby poetyckich, to znów aż do zawstydzenia wulgarnych. Nie brak dziwacznych nazwań w rodzaju „trzech lili”, „pod pięciu świętymi”, „pod trzema umrzykami”, „pod grabarzem”, „pod rozpaczą”. W świat ten wprowadza znakomicie antologia 18 autorów p.t. „Osterie romane”, wydana w Rzymie, 1937. Ale już i ona zwolna zachodzi za horyzont przeszłości.

Z tej to antologii dowiedzieć się można, że nieistniejąca dziś „Osteria e Locanda della Campagna” w pobliżu Kapitolu, w której burdę kiedyś wywołali legioniści Dąbrowskiego, była również ulubioną winiarnią Goethego, który nie gardził winem Castelli Romani i dziewczętami Rzymu, o czym się przekonać można z „Elegii rzymskich” olimpijskiego poety. Otóż Goethe zakochał się w szynkareczce-szafareczce Faustynie z tej właśnie osterii. Trattoria „Settimiana” na Zatybrzu szczyci się, że była niegdyś mieszkaniem Fornariny Raffaelowej, czyli Margherity Luti. „Rupe Tarpea” imitacjami klasycznymi, statuetkami, wazami, kapitelami kolumn i ułomkami płaskorzeźb wabiła gości oraz kamiennymi czarkami, które miały naśladować starorzymskie pocula. Nie jest obojętne, z czego się pije wino. Jedną z najbardziej uroczych botteg naszych czasów była piwnica pod nazwą „Biblioteca”, gdzie nie tyle książki były gromadzone, co najwykwintniejsze wina włoskie, a głównie Castelli z własnym frizzante o nazwie „Acqua di Trevi”.

Wiedza o winie, enologia, jest wielka, trudna i skomplikowana, jak przyroda albo astronomia. Posiada swoje cyfry, wykresy, symbole, logarytmy, ekliptyki, permutacje, rachunki prawdopodobieństwa. Znanca win, to mag tajemnej wiedzy, profesor okultyzmu.

Dobre wino nie rodzi się na kamieniu i nie wytryska spod bruku. Nawet we Włoszech trzeba go dobrze poszukać. Przed uda-

niem się na poszukiwanie tego kwiatu świętojańskiego, trzeba się wyzbyć legend i złudzeń. Nie trzeba przede wszystkim szukać w Italii wina starego. Tylko bardzo niewiele win osiąga średnie lata, a i tym sędziwości dodają raczej tajemnice produkcji. Chianti np. czteroletnie uchodzi już za bardzo stare. Castelli Romani giną w młodym wieku. Dwa lata, to już ich zmierzch. Niewinne są wina winnej Italii.

Potem typy. Nikt jeszcze nie policzył typów win włoskich. Owszem literatura o winie włoskim formuje nieliczną biblioteczkę, a sam słownik winny może wypełnić dość opasły tomik. Ukazało się wiele monografii win poszczególnych rejonów. Nienieć Hans Barth, spędziwszy życie w osteriach od Werony po Capri, zniósł wreszcie jaje swego żywota i nadał mu miano „Osteria”. Była to literacka monografia win włoskich z przedmową Gabriela D’Annunzio. W literaturze włoskiej najprzedniejszą książką o winach są „I vini tipici d’Italia” Artura Marescalchi. Ale gdzież im do dokładności! Każda niemal wioska we Włoszech ma odrębny typ wina. A wy pewnie myślicie, żołnierze, że wasz szlak od Taranto po Bolonię, wypełniony rzekami cienkuszów sycylijskich, apulijskich, marchijskich, cukrzonych Marsal, „cotto” i potwornych wermutów, strumieniami wielokolorowych nalewek romańskich, znanych produktów znad Senio (vini di Lugo) i spod Bolonii, że to już wszystko, co mogą urodzić winnice i kadzie włoskie? Pewnie, że grzecznie bywało i tam! Trafiły się prawdziwe skarby, były wina apulijskie Sansevero i Barletta, mało znane a pyszne z Val di Chienti, z Cupramontana, pite pod ogniem, różane apenińskie, czasem dobywało się z zamkowych piwnic jakieś zaśnieżone butle, kadzie z doliny Emilii zawierały śliczne treści. Ale to jeszcze nie rubiny Chianti, tęczowe Barolo, fiołki Lambrusco, szkarłat Falerno, kryształ Orvieto, bursztyn liguryjskiego Cinqueterre, opiewanego przez Boccaccia, dostojęństwo Lessony, Gattinary i Barberty, słodczy boska Lacrima Cristi, Moscato i Vino Santo, wonność prawdziwego wermutu turyńskiego, tłustość dojrzałych win sycylijskich, ponętność słodko-cierpkiego Aleatico, zmysłowość Est-est-est.

Jakże się oszukują ci, którzy rozpowiadają o mocy wina! Dobre wino nie powinno być mocne. 13 stopni alkoholu, to już bardzo wiele. Dobre wino powinno mieć za to zapach, czyli bukiet. Najlepsze wina pachną poziomkami, malinami, rodzynekami, różą lub fiołkami. Słodczyz to też wątpliwa zaleta. Są co prawda poszukiwacze także słodkich win. Słońce Italii wyklada im na targowisko swej ziemi w pierwszym rzędzie wermut i marsalę. Nazwa wermutu jest pochodzenia niemieckiego (Wermt, Warm, ciepło), miejscem urodzenia napoju była przypuszczalnie Toskania, a wydoskonalili wermut, ustalając jakość jego ziół, bracia Cora w Turynie i puścili go okrzęsanego w świat w r. 1838. Natychmiast pojawiło się mnóstwo podróbek i oszustw, choć mniej, niż oszwabek Marsali.

To paskudztwo zawdzięcza swą karierę Anglikowi Woodhouse'owi, który kiedyś kupił na Sycylii kilka baryłek wina z gotowanej jagody, przyrządzonego z różnymi ingrediencjami, i zaczął wał wyspiarzy jego zawieszistą słodyczą. Lord Nelson wprowadził Marsalę w brytyjskiej flocie, a Włosi uwierzyli, że to naprawdę dobry napój. Zaczęli się drożyć, więc Woodhouse, nie w ciemną bitę, założył konkurencję na Malcie. Wielkie tam cuda z takim wynalazkiem. Rozmnożyli się naśladowcy. Marsala, to akurat taki przysmak, jak porridge, bullit beef albo pudding. Teraz świat anglosaski choruje na modę picia naszej siwuchy, nazywanej pieszczotliwie „wodka”. Względy polityczne każą przypisywać ten wynalazek Rosji („bez wodka nie razbiriosz”).

Wino smakuje się nie gardłem, lecz podniebieniem. Nie pije się go haustem, ale wolniutko. Aby odnaleźć cały smak wina, nie trzeba palić przy picciu, a dobrze jest przedtem zjeść troszkę łagodnego sera (np. Bel Paese, Pastorella albo Groviera) na razowym chlebie. Czerwone wino służy do mięsa i pije się je w temperaturze naturalnej, niechłodzone; białe do ryb (najlepsze — Capri); słodkie do deserów, wermut do „tradycyjnej lampki wina”, a Marsala do zabicia grzechu śmiertelnego. Est-est nie zabija. Także Chianti jest niebezpieczne.

Znawca rozezna tysiące smaków wina. Przeciętny śmiertelnik

rozróżniać powinien przynajmniej podstawowe. A więc wina kwaśne, wytrawne nazywają się we Włoszech suchymi — secco lub asciutto. Czasem mazywa się je d'arrosto, czyli do mięsa. W Rzymie popularnie secco nazywa się cannellino. Dalej idą wina sulla vena (pod ochotę) o leciuteńkiej dozie słodyczy (np. Frascati). O szczebel za nimi idą amabile. Następnie plasują się vini pastosi. To już wina półsłodkie. Przed słodkimi są jeszcze liquorosi. Wreszcie wyrażne dolci. Spumante, jak powszechnie wiadomo, to wina musujące. Lekko musujące nazywają się frizzante. Te włoskie „szampany” zawdzięczają swój pobudliwy charakter glebie wulkanicznej, na której się rodzą. Właśnie wina z Rzymskich Kasztelów należą do tej kategorii. Kasztele, to wygasłe wulkany, jeziora, krater. Ale „szampany” z Frascati nie mają nic wspólnego ze starością. Właśnie dlatego, że są frizzante, kończą się w młodym wieku. Nieżle się w terminologii win włoskich orientował Mikołaj Rej, o czym świadczy np. taki fragment z pism dostojnego moralisty: „Więc zasię znowu lać w gardło ony seki, ony witpachery, ony rozekery, ony rywulę, małmazyje, muszkateły, a jakoż to chłop zgorzeć nie ma?...”. Spolszczone to okrutnie, ale smaczne. Często zapewne zaglądał ojciec Mikołaj do butelki, nacechowanej po włosku.

Wspomniało się o glebie. Jakość wina zależy od setki okoliczności. Więc od gleby, jakby od krwi matki. Inna będzie winna jagoda z gleby wulkanicznej, inna z siarczanej, inna z wapiennej, krzemiennej, żelazistej, potasowej, gliniastej. Sole mineralne, najróżniejsze chemiczne składniki warunkują rodzaj jagody. Najlepsze winogrona i najśłodsze rodzą się na glebie gliniasto-żelazistej i krzemionkowej. Najślawniejsze odmiany winnej jagody we Włoszech, to Trebbiano, Nebbiolo i Falanghiano (starorzyska). W winie znajdują się różne rodzaje kwasów, gliceryna, tanina, cukier zredukowany, alkohol, azot, eter i cała jeszcze litania dziwów chemicznych. Najczęściej jednak odnajduje się w winie wodę. Z racji chemicznych i kupieckich. Pijąc wino, rzadko się myśli o tym, z jakiej pochodzi ono jagody, na jakiej grono dojrzewało wysokość,

ku której stronie świata, opadał pagórek, na którym się jagoda rodziła, jak była uprawiana gleba, czy latorośl rosła samodzielnie czy była przywiązana do drzewa, ile było w roku jej żywota dni słońca, deszczu, wilgoci w ziemi, jaką temperaturę miały kolejne pory roku, jaki był przebieg wegetacji winogrona, czy nie podlegało chorobom latorośli, czy zbierano je w czas, czy przejrzałe, czy winobranie było ostrożne, czy długo potem suszono grona, zanim znalazły się w kadziach. A jakież zawile są tajemnice produkcji! Kadzie i beczki są mistrzyniami podstawowymi smaku przyszłego wina. Nadają one kierunek fermentacji i smakom. Znamcy oceniają wartość przyszłego wina już w jego dzieciństwie, zaraz po fermentacji. Aby się wino udało, trzeba mieć na uwadze czas fermentacji, ściągania moszczu, rektyfikacji, zlewania, odcukrzania, sposób tłoczenia, konserwacji, proces starzenia się, miejsce przechowywania, temperaturę, wilgoć, ciemność, nawet położenie butelek. Wino czerwone nie bierze swego koloru wprost z soku jagody, ale trzeba łupki dopuścić na jakiś czas do procesu fermentacji. Wszystkie te zabiegi nazywają Włosi — „governo”, rządem wina. A kiedy wreszcie z butelki ma się wyzwolić duszę wina na pożytek człowiekowi, nie obojętne jest, z jakiej cieknie butelki, do jakich naczyń, kiedy się butelki otwiera przed pić, w jakiej temperaturze, z jakiej się płyn leje wysokości. Każde wino ma swój rząd. Dopiero przy jego zachowaniu „nie uciska głowy, nie usztywnia nóg, nie krzywi postawy, lecz rozwesela ducha, pobudza fantazję, podnieca apetyt”. Podobno nawet leczy.

Zdania o działaniu wina na ludzi są zresztą podzielone. Po starych Rzymianach pozostało przysłowie „W winie prawda” i jeszcze drugie: „Si vino bibas, mortem non gustaris” („Pijąc wino, nie skosztujesz śmierci”). Papież Leon XIII pisał, że „wina rozweselają ducha i odpędzają troski”. Królowa angielska w r. 1923 zachwycała się winem Frascati. Słynny Deuc, poseł Henryka V, kazał się pochować w ojczyźnie Est-est-est — w Montefiascone nad jeziorem Bolsena i nawet po śmierci raz na rok oblewać grób baryłką wina. Poczciwi klerycy z latami baryłkę tę poczęli kierować

do swoich gardeł. Na Wezuwiuszu cud zamienił skromnemu pustelnikowi kwaśny moszcz na Lacrima Cristi za to, że nie uległ pokusie szatana. A Kana... Pewnieć, i pić trzeba umieć. I w Rzymie osioł osłowi na imię.

Stary Dąbrowski lubiał czasem zajść na jaką kwaterę w Rzymie, a jego żołnierze znając słabość dowódcy ustawiali zaraz przed nim czarki. Wtedy generał rozpinał surdut, rozluźniał pas i sypał anegdoty. A oficerkom aż się oczy śmiały do „fidryganców i zabaw śmiesznych”. I dziś Italia dzieli się suto swym winem z Polakami. Tylko kiedy czasem zagrają „Żal” Chopina, wtedy ciemnieją oczy, niknie na chwilę radość i słyszać rytm bałwederskich kroków i słowa, głośniejsze ponad wszystkò:

„Lecz się będzie świt rumienić,
Trzeba wino w krew przemienić,
Przemienione wino pić”.

SPIS RZECZY

Wstęp	5
<i>Passeggiata</i>	7
<i>'O sole mio!</i>	21
<i>Wyspa syren</i>	31
<i>Monte Cassino</i>	43
<i>Miłość żeglarzy</i>	49
<i>Serenissima</i>	55
<i>Città delle belle donne...</i>	63
<i>Życie Rzymu płynie ulicami</i>	73
<i>Hej, wino, wino, wino...</i>	95



D. J.